POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 6-go czerwca 1942r.** **Rok IV. Nr. 23**

RUCHOME OBRAZY

Spotkałem niedawno bardzo nieszczęśliwego człowieka. Człowiek ten twierdził, że podczas niepodległości Polski nie zrobiło się nic, że okres ten był okresem pustym. Określił nasze dwudziestoletnie wolne życie, jako paskudne. Mówił przytem, że bił się za tę niepodległość i teraz i przed owemi dwudziestu laty. Mówił także, że jest Polakiem, że nawet skończył polski uniwersytet. Żal mi tego człowieka.

Przed oczami poczęły biec, jak w kinematografie, ruchome obrazy. A więc najpierw typowe, warszawskie popołudnie letnie, z ramionami kasztanowych drzew w Ujazdowskich Alejach, Łazienki pełne kwiecia, wobec którego zblednąć muszą egzotyczne, wyrafinowane rośliny, pełen dziecięcego zgiełku Park Ujazdowski, zatłoczony Nowy Świat, przydymiona i ciemna Praga, z tłem bluzy robotniczej i niebieskością wód Skaryszewskiego Parku. Obraz ten wyskoczył nagle na ekran wyobraźni i zniknął jeszcze szybciej, aniżeli się pokazał.

Właśnie idę do szkoły. Na plecach ciąży mi tornister, a ulica Wiejska stanowczo wydaje się za krótka i zbyt łatwa do przebycia, mam dzisiaj odpowiadać z francuskiego, to takie piekielnie trudne nauczyć się obcego języka. . . . Na myśl o tym, co opowiadał ojciec, że wszystkich przedmiotów musiał się uczyć po rosyjsku, ciarki obrzydzenia przechodzą po skórze. Już Myśliwiecka, za chwilę zobaczę u progu szkoły znaną mi jakże dobrze sylwetkę grubego " dyra " z potężną brodą i wąsami. Czeka na spóźnionych. Serce mi bije zlekka przyśpieszonym tętnem. Jedyna jasna plama na tym dniu, to przysposobienie wojskowe, które właśnie zaczynamy. Dostaniemy podobno prawdziwe karabiny. Bardzo prawdziwy sierżant czeka już w profesorskim gabinecie. Obraz znika.

Planty krakowskie rozchylają swe zielone ramiona i przyjmują mnie w swoje objęcia. Jestem studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozpiera mnie duma na samą myśl o tym, a czarna czapka wydziału prawa puszy się na mej niesfornej czuprynie. Gromada studentów wychodzi z podwoi Jagiellońskich. Jest wzburzona, rozgorączkowana, pełna chęci walki o swoje prawa. Podobno ma być zniesiony samorząd uniwersytecki! Słyszeliście kiedy coś podobnego? Autonomia zagwarantowana uroczyście przez pierwsze rządy niepodległej Polski. Nie dopuścimy! Protestujemy! Lawina młodego entuzjazmu wylewa się z murów starej wszechnicy, rozlewa się po rynku, plantach, całym Krakowie, potem biegnie szybko po okolicznych szosach, dochodzi do innych miast, wsi, miasteczek, bezceremonialnie pcha się na łamy prasy, wtrąca do poważnych rozmów, psuje szyki autorom niefortunnego projektu, nazwiska ich rzuca na indeks niepopularności, zapisuje je na czarne karty historii. Ukochanie wolności ludzi w atmosferze wolnego państwa wychowanych wydaje swoje owoce.

Cisza zalega ogromną aulę, wykład ma prof. Stanisław Wróblewski. Pierwszo-roczniaki słuchają z pootwieranymi ustami. Profesor mówi jasno, zrozumiale, piękną polszczyzną. Widzę siebie w jednej z pierwszych ławek zasłuchanego, z oczami utkwionymi w mówiącego. W ciągu wykładu mówi, że niedawno temu jeszcze nie marzył nawet, że będzie mógł wykładać po polsku w polskiej uczelni. Staruszek Zoll, słuchający tego, smętnie kiwa siwą głową. Niechcący niby przeciera szkła okularów. Robi nam się dziwnie i jakoś niebardzo możemy zrozumieć wzruszenia tamtych. Czy mogło być kiedykolwiek inaczej?

Na podwórku koszarowym stoi wyprężony szereg cenzusowców. Właśnie jest raport. Taki sam jak codziennie. Ile jeszcze tych dni zostało? Plecak macie brudny i buty niewyczyszczone! A niech go . . . Kapral Klenczon ma złe błyski w oczach. Jeżeli mi się jeszcze raz zdarzy coś podobnego! Ja też jestem zły. I nagle uśmiecham się do niego. Patrzy na mnie nieufnie i podejrzliwie, nie rozumie tego uśmiechu. A mnie właśnie przypomniały się słowa profesora Wróblewskiego i pojąłem ich znaczenie. Wszak ten kapral krzyczy na mnie po polsku. A na niego krzyczał obcy, wredny, rosyjski chłop, lub niemiecki feldwebel. Miałem ochotę uściskać poczciwego Klenczona!

Potem znowu biegnie przed oczami życie. Widzę niezliczone kominy najbrzydszego polskiego miasta Łodzi, widzę windy Wieliczki, kapliczkę wykutą w soli, kopalnie węgla, rozrzucone na naszym kawałku Śląska. Przebiega przez ten mój ekran sylwetka budującego się COP-u, widzę Biskupin, owoc niezmordowanej pracy uczonych, nowe gmachy szkolne, nowoplanowane dzielnice miast, lepsze bruki, elektryfikację, widzę port Gdyni i motorówkę, która mnie przed samą wojną po tym porcie obwoziła. Widzę na każdym kroku, w każdej wsi, w każdym mieście i miasteczku ogrom pracy ludzkiej, pracy tych maluczkich, którzy znikąd nie spodziewali się ani pomocy, ani uznania, pracy ciężkiej, zroszonej niejednokrotnie naprawdę krwawym potem. Widzę pracę także tych " możnych," którzy mieli pomoc i mieli uznanie. Widzę tysiące nowych łóżek szpitalnych, sanatoria dla wszystkich, zastępy lekarzy przy pracy nad zdrowiem narodu.

Widzę to wszystko, ponieważ praca ta była, ponieważ dojrzewała i rozrastała się w atmosferze wolności. Ponieważ, *nie system polityczny, lecz ludzie odbudowali z ruin wojennych kraj*. Ponieważ ludzie ci byli i są Polakami, ponieważ żądają dzisiaj uznania ich pracy i ich ofiary w obronie owoców tej pracy. Ponieważ z powierzchni ziemi zetrą wątpiących w te owoce i bluźniących przeciwko latom wolności. Zetrą ich samych swoim oddechem, który jest oddechem potężnym, pełnym wiary i miłości. Oddechem, w którym nie ma jadu nienawiści.

Ruchome obrazy znikają z przed oczu. Wzrok zaczyna przyciągać rzeczywistość, przysłoniętą częściowo twarzą tego nieszczęśliwego człowieka. Nagle za gardło chwyta zwątpienie: a jeśli jest więcej myślących tak jak on? Jeśli to wszystko co było, jeśli cała praca, pot, krew niejednokrotnie poszła na marne? Jeżeli ci co są teraz zaprzeczają wartość niepodległości, jeżeli będąc na obczyźnie, na wygnaniu, nie potrafią ocenić niczego? Ani maluczkich, ani tych bardzo przeciętnych, ani nawet znanych i wielkich? Jeżeli nazwiska Paderewskiego, Piłsudskiego, Sikorskiego, Narutowicza, Żeligowskiego, Dowbora Muśnickiego, Żeromskiego, Kossak-Szczuckiej, Marii Dąbrowskiej, Stanisława Thugutta, Stefczyka, Rapackiego i wielu, wielu innych nie przedstawiają dla nich żadnej wartości? Jeżeli tak jest naprawdę?

Na koszarowej sali, przyprószonej szkockim kurzem, zasnutej polską tęsknotą, odbywa się niedzielne nabożeństwo. Panuje cisza. Nagle mocny głos intonuje pieśń. Podchwytują ją dziesiątki ust. Patrzę na twarze—są jakieś niecodzienne, jakieś dziwnie skupione, natchnione, przejęte. " Do Wolnej Polski nam powrócić daj!" Słowa pieśni są wibrujące, pełne jakiejś niespotykanej mocy. Tak śpiewa, tak modli się tylko wierzący. Wierzący w wolność i w jej wartość.

Moje zwątpienia prysły. Miejsce ich zajęło uczucie pewności i dumy z tego, że jestem z nimi, że jestem między nimi.

Patrzymy ciągle w przeszłość. Nasze rozmowy są rozmowami ludzi stęsknionych do tego wszystkiego co było, rozmowami ludzi żyjących światem wspomnień i marzeń, rozmowami stworzeń nierzeczywistych, oderwanych od życia. to niezłomnie dowodzi, że chcemy, by tamto wróciło, ten okres nazwany " paskudnym." Tęsknota rozpiera nasze serca, a byle wspomnienie wyciska łzy z oczu. Posłuchaj tych rozmów człowieku chory i nieszczęśliwy!

Pragniemy wrócić tam i żyć, pracować, mieć dom własny i nawet do konduktora mówić po polsku. Pragniemy tego tak bardzo mocno, że pragnienie to napewno się ziści. Musimy sobie tylko pomóc. Sobie samym a przez to wszystkiemu co drogie, co kochane, co tam zostało. Przyjedziemy z powrotem do spalonych ścian, zburzonych fabryk, szpitali pozbawionych lekarzy, elektrowni o poniszczonych turbinach, szkół, których nauczyciele zmarli w niemieckich obozach koncentracyjnych, tartaków i młynów, w których nie tylko brak będzie mąki, ale brak także będzie i młynarzy, chat chłopskich, w których jedynymi mieszkańcami będzie starzec-ojciec i staruszka-matka. Przyjedziemy do sądów, w których dawno nie postała prawdziwa sprawiedliwość i w których pachołkowie nowoczesnego Nerona dokonywali bezkarnie gwałtów i odbierali ludziom prawo do życia, do wyludnionych izb adwokackich, pustych gabinetów lekarskich, do związków zawodowych i izb rzemieślniczych, które trzeba będzie budować od podstaw, do zdemolowanego portu w Gdyni, do ruin warszawskiego Zamku i do popalonych sztandarów.

Wtedy także wrócą i inni. Ze wschodu ciągnąć będą ci, którzy nie zdołają wcześniej dobrnąć do polskich ośrodków. Będą obdarci, głodni, będą ruiną fizyczną lecz potężną siłą moralną. Z zachodu iść będzie kwiat polskiej młodzieży. Otworzą się podwoje Stalagów i Oflagów, zawisną porwane w strzępy zwoje kolczastych drutów, karabiny maszynowe strzegące wyjść obrócą swe lufy na dotychczasowych panów. Z tych bram wysunie się nieśmiało tłum ludzi młodych, niegdyś zdrowych, pełnych energii i życia. Zawaha się ten tłum chwilę jedną, gdyż powiew wolności uderzy im do głowy, jak najmocniejsze wino niepite przez długie lata. Lecz to będzie tylko sekunda. Wąż ludzki postaci zgarbionych i przywalonych latami niewoli rozciągnie się na dziesiątki i setki kilometrów. Dojdą wszyscy, a kiedy pierwszy biało-czerwony słup zamigota przed ich oczami, zmordowane nogi zerwą się do biegu. Dobiegną i więcej nigdy nie będą pragnęli z granic tych słupów wychodzić. Przyjdą i zostaną—u siebie.

Przyjdziemy i my. Stąd z Anglii i Szkocji. Będziemy mieli na sobie mundury, albo ubrania cywilne. Mundury będzie miało wojsko, które przejdzie miejmy nadzieję, przez wroga, zanim dojdzie do Polski. W cywilu będą ci wszyscy, których praca w tej roli jest pożyteczniejsza, bardziej skuteczna. Przyjdziemy i spotkamy się z nimi. Z tymi ze wschodu i z tymi z zachodu.

Spotkamy się także z tymi, którzy są na miejscu. Uścisną nam ręce, popatrzą z wdzięcznością na nasze wypoczęte, rumiane twarze, z zazdrością na zielone mundury i poproszą by ich teraz wyręczyć. Byliśmy ich jedyną nadzieją, nadzieją wolności i nadzieją wypoczynku. Oni pracowali przez lata wojny podwójnie, potrójnie, za dziesięciu, za stu. Ci co tam byli. Ci, którzy przyszli z niewoli i tułaczki, pragną także wypoczynku. Oni nie jedli od dawna i nie żyli, jak ludzie. Mają kategorię zdrowia—ostatnią. My jedni z pośród tych wszystkich, którzy wrócą, z pośród wszystkich tych, których zastaniemy, będziemy mieli kategorię " A "—bez żadnych zastrzeżeń. Zwrócą się ku nam błagalne spojrzenia naszych braci, sióstr, matek, naszych synów i córek—będą błagali o pomoc, o chwilę odpoczynku. Będą prosili o zluzowanie ich z posterunku.

Na naszych barkach, na barkach ludzi zdrowych i nienadwyrężonych wojną spoczywać będzie początkowo cały ciężar odbudowywania Polski. Ciężar pracy mozolnej, trudnej, pracy od podstaw. Będziemy musieli zapełnić szkoły nauczycielami, uruchomić fabryki, naprawić turbiny, dostarczyć młynom nie tylko zboża, ale i młynarzy. Stanie przed nami ogrom zadań i odpowiedzialności. A jeżeli temu podołamy, otoczy nas wdzięczność ludzi zmęczonych, znużonych latami prześladowań, niewoli, latami tułaczki i bezdomności. Wdzięczność najbliższych i najdroższych nam ludzi, którzy na nas czekają i na nas jedynie liczą.

Ów nieszczęśliwy człowiek, którego spotkałem, rzucił także rękawicę emigracji obecnej. Powiedział jej, że było źle i że nie wierzy, by było lepiej. Taka była jego myśl. Rękawicę tę podnoszę. Podnoszę podwójnie—raz dlatego, że wiem, iż była wolność, czego on zdaje się nie spostrzegać, powtóre dlatego, że twierdzę, iż zdolni jesteśmy, my tutaj dzisiaj żyjący, na błogosławionej ziemi Wielkiej i Wolnej Brytanii, odbudować tę wolność w naszej Ojczyźnie. Odbudować zniszczony kraj.

Każdy dzień tutaj spędzony musi być wykorzystany stuprocentowo. Odrzucony precz marazm, zobojętnienie, dążność do uprzyjemniania sobie życia, a obrzydzania innym, nakazem musi się stać czerpanie energii i entuzjazmu do pracy, doświadczenia i wiedzy z bogatej skarbnicy naszej własnej historii i z historii narodu brytyjskiego. Oto droga do celu. Droga do Polski, czekającej na nas z takim samym utęsknieniem, z jakim my czekamy na chwilę powrotu.

Jeżeli tej drogi nie potrafilibyśmy znaleźć, otoczy nas pogarda naszych współczesnych, ciągnąć się za nami będzie pogarda historii. Jeśli nawet wrócimy, będziemy ludźmi bez Ojczyzny, ponieważ na to, by Ją mieć, trzeba zasłużyć. My jedni spośród wszystkich Polaków po świecie rozrzuconych, mamy możność pracy rzeczywistej, dającej konkretne, natychmiastowe rezultaty.

Musimy pracować. Inaczej nie potrafimy podnieść rzuconej rękawicy. Inaczej pewno nie wrócimy nigdy do naszych domów. Do Polski. Tak jak zapewne nie wróci ów bardzo nieszczęśliwy człowiek.

ZYGMUNT NAGÓRSKI jr.

ROZKAZ Nr. 7

Żołnierze,

Jedność ideowa Wojska jest jego największą siłą, jego niezawodną ostoją, a zatem jego koniecznością.

Tak się złożyło w obecnym przełomowym dla dziejów świata momencie, że Polskie Siły Zbrojne odtwarzając się na obczyźnie, pracować musiały i muszą przy pomocy żołnierza formowanego w warunkach skrajnie odmiennych. Wystarczy porównać warunki Wasze z tymi, w jakich powstają, gotując się do boju o wolność i wielkość Polski—oddziały polskie w Rosji, by zrozumieć i ocenić znaczenie tych słów. W następstwie podobnego faktu, jedność wspomniana mogłaby się stać fikcją. Nie dopuścicie do tego Wy, żołnierze z Wielkiej Brytanii, którzy idziecie stąd na Średni Wschód. Idziecie tam z mego rozkazu nie tylko jako instruktorzy i specjaliści, nie tylko jako technicy wojny nowoczesnej, ale i jako pionierzy jednego, jedynego Wojska Polskiego, służącego wiernie swym sławnym sztandarom. Dowiedziecie również przez ofiarną służbę, a jak tego zajdzie potrzeba i przez czyn, że pod względem siły duchowej warci jesteście żołnierzy z pod Tobruku i Gazali, oraz tych, którzy przez dwa lata wytrzymali mężnie i niezłomnie ciężką niewolę, a przywróceni bratnim szeregom, stanęli obok Was karnie, by pracować razem zgodnie nad dalszą rozbudową Polskich Sił Zbrojnych.

Jestem pewien, że nikt z Was nie zawiedzie położonego w Nim zaufania, że Swe doświadczenie i wiedzę odda na użytek Sprawy tak, by wojska powstające na Średnim Wschodzie, zdały w pełni egzamin w momencie próby.

Dziękuję Wam wszystkim za dotychczasową nienaganną i dobrą służbę.

W szczególności dziękuję Generałowi Brygady Paszkiewiczowi, którego energia i inicjatywa twórcza, uczyniły 1 Samodzielną Brygadę Strzelców wielką jednostką o wysokiej wartości i poważnych możliwościach rozwojowych. Dziękuję również Generałowi Brygady Kossakowskiemu za znakomite zorganizowanie saperów I Korpusu, za poziom kierowanych przez niego prac fortyfikacyjnych i technicznych oraz usługi położone w dziedzinie motoryzacji. Pragnę również podkreślić zasługi Pułkownika Odzierzyńskiego, który włożył wiele zapału i pracy w formacje wojsk spadochronowych i podziękować Ppułkownikowi Skowrońskiemu za jego bezimienną, wytrwałą i owocną pracę w moim Sztabie.

Życzę Wam wszystkim szczęścia żołnierskiego na nowych posterunkach pracy oraz walki. Oby danym Wam było zasłużyć się dobrze Ojczyźnie.

NACZELNY WÓDZ I MINISTER SPRAW WOJSKOWYCH

/—/ Sikorski Generał Broni

"Już widać grań zwycięstwa..."

UWAGI OGÓLNE

Także i w ciągu maja nie rozpoczęła się w Rosji zapowiadana fanfarami niemieckiej propagandy oraz oczekiwana przez wszystkich ekspertów wojskowych, wielka ofensywa niemiecka. Jednakże zarówno na froncie sowieckim, jak i ostatnio w Libii, Niemcy przeszli do działań zaczepnych.

Trudno jest w tej chwili omawiać działania w Libii, ale w każdym razie działania niemieckie zarówno w Rosji, jak w Afryce są dalekie od tych gigantycznych planów, które przewidywały koncentryczny atak na Indie, prowadzony z jednej strony przez zwycięskie wojska japońskie a z drugiej strony przez wojska niemieckie wpoprzek Kaukazu, przez Syrię i Suez . . .

Na wszystkich frontach, sytuacja operacyjna zaczyna się układać powoli zupełnie inaczej niż to sobie wyobrażali dyktatorzy bądź-to w pustelni w Berchtesgaden, bądź też w kraju kwitnących chryzantem. Na wszystkich frontach skończył się już dawno *Blitzkrieg*, którego podstawowym warunkiem jest duża rozpiętość techniczna i liczebna. Siły Sprzymierzonych na wszystkich frontach rosną z każdym tygodniem a przede wszystkim rośnie w sposób, który przekroczył najbardziej optymistyczne przewidywania, potęga militarna Stanów Zjednoczonych.

W tym roku, znowu czas zaczyna grać po stronie Sprzymierzonych. Grał on przez pewien okres w pierwszych miesiącach zimy po stronie Japończyków. Z chwilą załamania się próby inwazji japońskiej w bitwie na Morzu Koralowym, pracuje on znów na korzyść Sprzymierzonych. Nadto po ich stronie grają inne dwa czynniki, których pokonanie staje się co raz trudniejsze dla państw osi: przestrzeń i siła materialna.

W Rosji olbrzymie przestrzenie czynią stanowczo złudzeniem zamiary *Oberkommando der Wehrmacht* rozbicia siły sowieckiej. Potwierdzają się poglądy generałów Falkenhayna i Grönera, którzy wątpili w możliwość uzyskania zwycięstwa na wschodzie. Na Dalekim Wschodzie, rozciągnięte do ostatnich granic komunikacje morskie, czynią co raz bardziej krytyczną dla Japończyków sprawę żeglugi. Nasilenie działalności amerykańskich okrętów podwodnych a przede wszystkim marynarki amerykańskiej, wobec słabych możliwości stoczni japońskich może uczynić tę sprawę jeszcze bardziej krytyczną. Warto przypomnieć w tej sprawie zdanie gen. Sikorskiego z jego mowy na Radzie Narodowej 21 kwietnia r.b.: "Pamiętajmy, że potężna flota amerykańska gotuje się dopiero do uderzenia . . ." Bitwa na Morzu Koralowym była już pierwszym potwierdzeniem tych słów.

Również i zagadnienie siły materialnej a przede wszystkim stanów liczebnych staje się co raz bardziej krytyczne dla Niemiec. Kwiat Reichswehry już dawno legł pokotem na ośnieżonych polach Rosji. Obecny materiał ludzki to albo zbyt młode albo zbyt już stare roczniki, nie są one w stanie dostarczyć Reichswehrze "młodych i sfanatyzowanych żołnierzy, nie zdołają odtworzyć dawnych dywizji hitlerowskich, które odnosiły błyskawiczne zwycięstwa . . ." /ta sama mowa gen. Sikorskiego/. Jeżeli idzie o japońską siłę zbrojną, to wprawdzie jest ona daleka od kryzysu stanów, a jej straty ludzkie w dotychczasowych kampaniach, które były prowadzone tempem *Blitzkriegu*, nie były zbyt znaczne, jednak po stronie przeciwnej, na wschodnim brzegu Pacyfiku narasta z każdym tygodniem potęga ludzka i przede wszystkim materialna, której potencjał zaćmi wkrótce skromne możliwości kraju Nipponu.

Po tych rozważaniach wstępnych rozpatrzmy pokrótce sytuację na wszystkich frontach i spróbujmy wyciągnąć z niej pewne wnioski ogólne.

FRONT SOWIECKI

Działania na froncie sowieckim rozpoczęły się 8 maja uderzeniem niemieckim na Kercz z zamiarem zlikwidowania przyczółka sowieckiego na wschodniej części półwyspu Krymskiego. Celem tej operacji było zapewne przygotowanie podstawy wyjściowej dla przyszłej operacji desantowej na Kaukaz. Zdobywanie przyczółka sowieckiego o głębokości około 40 klm. trwało przy olbrzymim zmasowaniu lotnictwa i artylerii niemieckiej około 14 dni . . . Natężenie walk, niezmiernie krwawych dla obu stron, przewyższyło walki pod Verdun.

W parę dni później, marszałek Timoszenko rozpoczął ofensywę na froncie około 120 klm. w ogólnym kierunku na Charków. Impet tej ofensywy a szczególnie moment jej rozpoczęcia zaskoczył całkowicie dowództwo niemieckie, przygotowujące się do zmontowania wzdłuż Morza Azowskiego wielkiego natarcia, uzgodnionego w czasie z końcem działań na Krymie.

Dla powstrzymania ofensywy Timoszenki, marszałek v. Bock, który już rok temu walczył z Timoszenką w rejonie Smoleńska, zmuszony był użyć nie tylko odwodów lokalnych, ale i odwodów strategicznych całego frontu, montując cały szereg kosztownych przeciwuderzeń. Walki w rejonie Charkowa, aczkolwiek niezakończone jeszcze w chwili pisania tego komentarza, mogą być interesującym i pouczającym materiałem dla studiów taktycznych i dowodzenia. Powodzenie armii Schwödlera na odcinku Izjum-Barwenkowo, atakującej niebezpiecznie odsłoniętą południową flankę wojsk Timoszenki, połączone z uderzeniem niemieckim od północy z rejonu Merefy wtrąciło wojska sowieckie w sytuację krytyczną. Na manewr niemiecki, grożący otoczeniem i zlikwidowaniem przyczółka sowieckiego na zachodnim brzegu rz. Doniec, Timoszenko odpowiedział uderzeniem w ogólnym kierunku na Sławiańsk na prawe skrzydło wojsk Schwödlera . . .

Jest oczywiście niemożliwe przewidzieć wynik tej bitwy. W każdym razie należy zgodzić się z tym: że w razie zwycięstwa sowieckiego utrata Charkowa i odwrót niemiecki—to klęska, że zlikwidowanie przez Niemców przyczółka sowieckiego nawet z ciężkimi stratami to jedynie większe niepowodzenie sowieckie. Sam przebieg walk pod Charkowem bez względu na ich wynik jest już pewnego rodzaju zwycięstwem sowieckim. Te walki pokrzyżowały na dłuższy czas niemieckie plany podjęcia ofensywy na froncie południowym.

Aczkolwiek armia niemiecka już nie jest tą samą, co była rok temu, tym nie mniej "jako całość przedstawia jeszcze wciąż potężną wartość bojową" /mowa gen. Sikorskiego/—dlatego też nie tylko można, ale trzeba nawet liczyć się z niejednym jeszcze powodzeniem Reichswehry. Powodzenia te jednak nie mogą jej już dać końcowego zwycięstwa.

FRONT LIBIJSKI

Zamarły w bezruchu front libijski ożywił się ponownie w tych dniach. 26 maja wojska niemieckie i włoskie wzmacniane usilnie od szeregu tygodni, jak to stwierdził w Londynie admirał Cunningham, rozpoczęły działania zaczepne na dwóch kierunkach: częścią sił wzdłuż wybrzeża w ogólnym kierunku na Gazalę i gros sił w kierunku na Bîr-Hakiem. Jak można wywnioskować z tego uderzenia, zamiarem sił włosko-niemieckich jest przeskrzydlenie południowego skrzydła wojsk generała Ritchie.

Ofensywa włosko-niemiecka nie jest żadnym zaskoczeniem dla Sprzymierzonych. Była ona oczekiwana oddawna i obie strony po wyrównaniu strat kampanii zimowej przygotowywały się do obecnej kampanii, która jest już szóstą z rzędu. W każdym razie będzie to kampania prowadzona w najgorszych warunkach. Z powodu upału, praca załóg w rozpalonych czołgach staje się nadludzkim wyczynem a sprawa zaopatrzenia w wodę dla motorów i ludzi będzie nie mniej ważna, jak zaopatrzenie w amunicję i materiały pędne.

Trudno oczywiście przewidywać przebieg kampanii. W każdym razie rozpoczęła się ona w o wiele skromniejszych rozmiarach, aniżeli to było przewidywane. Nie towarzyszy jej żadne uderzenie na Syrię lub na Turcję, ani też żadna operacja powietrzno-morska na Maltę lub Palestynę. Jest to ofensywa w wielkim stylu, niewątpliwie zgrana w czasie z działaniami w Rosji, jednak nie będzie ona mogła mieć żadnego wpływu na działania na innym teatrze operacyjnym.

DALEKI WSCHÓD

Działania na Dalekim Wschodzie rozgrywają się na dwu zupełnie samodzielnych teatrach operacyjnych: Australia i Chiny. Kampania w Burmie już prawie zupełnie wygasła, gdyż wojska angielskie pod dowództwem generała Alexandra przybyły w tych dniach do Indii i jedynie resztki wojsk chińskich toczą jeszcze walki w rejonie rzeki Salwein.

Jak dotąd Japończycy nie rozpoczęli jeszcze żadnych działań w większym stylu przeciwko Indiom, pomimo, że opanowanie Burmy a zwłaszcza prowincji nadmorskiej Arakan, zapewniło im podstawę wyjściową do ewentualnej inwazji Indii, natomiast od szeregu dni przerzucili swój główny wysiłek na Chiny.

Wojska japońskie działają częściowo od południa w rejonie prowincji Junnan a częściowo w prowincji Czekiang, gdzie toczą się zacięte bitwy o stolicę tej prowincji. Kinhwa. Ponadto na wyspie Formoza, odbywają się przygotowania na większą skalę dla lądowania dużych sił na wybrzeżu Chin. Obecne działania japońskie w Chinach, noszą niewątpliwie charakter działań zapobiegawczych, gdyż celem ich nie jest rozbicie sił Czang-Kai Szeka, co nie udało się dotąd Japończykom pomimo pięciu lat wojny. Dążą do opanowania całego wybrzeża Chin w obawie, aby nie dostarczyło ono ewentualnych baz marynarce amerykańskiej a przede wszystkim baz lotniczych dla bombardowania Japonii. Działania te mają więc charakter obronny i właściwie wywierają mały wpływ na działania niemieckiego sprzymierzeńca w Rosji lub Afryce.

Jeżeli idzie o sytuację na północ od Australii, to po zwycięstwie na Morzu Koralowym, działania uległy pewnemu zawieszeniu, jednakże Australia przygotowuje się intensywnie do odparcia nowej nieuniknionej próby inwazji. Znowu i w tym wypadku czas gra na korzyść Sprzymierzonych.

WNIOSKI KOŃCOWE

Doceniam najzupełniej znaczenie propagandy zwłaszcza propagandy ofensywnej, działającej jak broń rozkładowo na moral narodu i wojsk przeciwnika. Jestem natomiast wrogiem zabarwiania na propagandowo komentarzy sytuacji wojennej i pozbawiania ich w ten sposób bezstronności. Jednakże nie jest to z mojej strony żadnym chwytem propagandowym, jeżeli przytoczę słowa Churchill'a z jego ostatniej mowy: "już widać grań zwycięstwa" . . .

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Bitwa Jutlandzka — 31 maja 1916 roku

Bitwa morska koło wybrzeży Jutlandii wspominana była ostatnio często w związku z wielką bitwą na Morzu Koralowym, określaną jako: "największa bitwa morska od Jutlandii."

W ubiegłą niedzielę minęło 26 lat od chwili kiedy marynarki wojenne Wielkiej Brytanii i Niemiec spotkały się na Morzu Północnym po raz pierwszy i ostatni w ciągu poprzedniej wojny światowej. Literatura o tej bitwie jest bardzo bogata zarówno w W. Brytanii jak i Niemczech, przyczem w obu tych krajach powszechna opinia uważa ją za swoje zwycięstwo. Bitwa jutlandzka była pierwszym spotkaniem bogatej w tradycje bojowe marynarki brytyjskiej z młodą, liczącą wtedy dopiero pół wieku, marynarką niemiecką. Dokładny przebieg tej bitwy, kurs, szybkość, pozycja każdego z okrętów biorących w niej udział zostały najskrupulatniej opisane i stanowią dzisiaj ważny przedmiot studiów oficerów marynarki wojennej na całym świecie.

Bitwa ta była sprawdzianem wartości marynarki niemieckiej, która nie miała jeszcze sposobności zmierzenia się z przeciwnikiem. Admirał Jellicoe, który dowodził marynarką brytyjską dobrze oceniał siłę Niemców. Zdawał sobie jednak sprawę z tego jak nierówne znaczenie posiadał wynik bitwy dla Wielkiej Brytanii i dla Niemiec. Dla Wielkiej Brytanii była to sprawa: "być albo nie być." Znaczenie wyniku ewentualnego spotkania określa najlepiej Winston Churchill (ówczesny Pierwszy Lord Admiralicji), który w dziele swoim o pierwszej wojnie światowej p.t. "*World Crisis*" mówi: "Jellicoe był jedynym człowiekiem, który mógł wojnę przegrać w ciągu jednego popołudnia."

To też admirał Jellicoe był wyjątkowo czujny i uważny. Wiedział, że do spotkania głównych sił przyjdzie, zwłaszcza gdy dowódcą marynarki niemieckiej mianowano admirała Scheera, gorącego zwolennika taktyki ofensywnej.

W ostatnim tygodniu maja 1916 roku, wywiad admiralicji brytyjskiej otrzymał wiadomości wskazujące na to, że marynarka niemiecka przygotowuje się do wyjścia w morze na ważne operacje. Bazy "Home Fleet" otrzymały odpowiednie rozkazy. Późniejsze wiadomości mówiące konkretnie o wyjściu okrętów niemieckich z baz, zastały już potężną flotę brytyjską na Morzu Północnym.

Siły brytyjskie składały się z 6-ciu krążowników bojowych admirała Beatty w linii pierwszej i 4-ch w linii drugiej, oraz sił głównych admirała Jellicoe: 21 pancerników, 3-ch krążowników bojowych, 8-miu starych ciężkich krążowników i 78 kontrtorpedowców.

Siły niemieckie natomiast stanowiły 22 pancerniki i krążowniki bojowe (w tym 6 starych) admirała Scheera i 5 krążowników bojowych admirała Hippera, poza tym 11 lekkich krążowników i 72 kontrtorpedowce.

Porównując tonażowo obie floty, Wielka Brytania posiadała 845.100 ton a Niemcy 562.840 ton. Stosunek siły ognia artylerii przedstawiał się jak 2:1 na korzyść okrętów brytyjskich. Również szybkość okrętów brytyjskich i zasięg ich torped były większe. Wszystko to właściwie przesądzało o zwycięstwie marynarki brytyjskiej i tylko dzięki opuszczeniu pola walki Niemcy nie ulegli rozbiciu.

Do pierwszego spotkania doszło pomiędzy okrętami admirała Beatty i Hippera, które stanowiły siły przednie. Główne siły admirała Jellicoe i admirała Scheera oddalone były wówczas o kilkadziesiąt mil. O 2.20 po południu padły pierwsze strzały. W tej fazie bitwy admirał Beatty ponosi bardzo ciężkie straty. Z 6-ciu krążowników bojowych dwa zostały zatopione. "Indefatigable" po pojedynku z "Von der Tann" otrzymuje na raz trzy celne pociski i tonie w ciągu kilku minut. "Queen Mary" trafiona pociskami "Derfflingera" staje w płomieniach i po potężnej eksplozji tonie prawie natychmiast. "Lion" z admirałem Beatty na pokładzie trafiony zostaje w jedną z wież, która płonie. Nie dosyć na tym. Potężna salwa trafia jeszcze "Princess Royal".

Sytuacja admirała Beatty wygląda tragicznie. Niemcy są już w przewadze. W chwili tego ciężkiego kryzysu, który mógł przynieść unicestwienie jego sił, należy podkreślić nadzwyczajny spokój i opanowanie admirała Beatty. Znane jest ogólnie jego odezwanie się do oficera flagowego w tym momencie bitwy: "Coś kiepsko z naszymi okrętami dzisiaj—Chatfield" i daje równocześnie rozkaz pozostałym okrętom zbliżenia się bardziej do okrętów niemieckich.

Wkrótce jednak kryzys zostaje zażegnany. Przybywają główne siły admirała Jellicoe i admirała Scheera. O 5.40 po południu rozpoczyna się pojedynek artyleryjski kilkudziesięciu okrętów brytyjskich i niemieckich. Flota niemiecka, która ponosi w tej fazie cięższe straty, wycofuje się pod osłoną dymną na południowy wschód. Jellicoe podąża za nią i usiłuje jej przeciąć drogę. Następuje drugie spotkanie, jednak flocie niemieckiej znowu udaje się ujść. Zapadający zmrok powoduje koniec głównej akcji. Całą noc trwają tylko walki pomiędzy pojedyńczymi, lżejszymi jednostkami. Admirał Jellicoe jeszcze na drugi dzień szukał okrętów niemieckich, ale bezskutecznie.

W wyniku tej bitwy, Wielka Brytania odniosła cięższe straty, niż Niemcy. Straciła mianowicie 14 okrętów oraz 6.274 oficerów i marynarzy. Niemcy zaś straciły 11 okrętów i 2.545 oficerów i marynarzy. Fakt jednak opuszczenia pola walki przez flotę niemiecką świadczy, że przewidywała ona swoją nieuchronną klęskę i zmuszona była ratować się ucieczką. Winston Churchill w "World Crisis", mówi, że bitwa Jutlandzka była nierozstrzygnięta.

Po bitwie Jutlandzkiej marynarka niemiecka nie wyszła już w morze i straciła ochotę zmierzenia swoich sił po raz drugi z marynarką brytyjską. Raz jeden tylko opuściła swoje bazy w dniu 19 sierpnia 1916 roku, ale na krótko i bez zamiaru walki.

Pisząc o bitwie Jutlandzkiej z okazji jej rocznicy, chcemy jeszcze przypomnieć inną wielką bitwę morską, znaną w historii jako "bitwa pod Cuszimą", która rozegrała się 27 i 28 maja 1905 roku pomiędzy marynarką rosyjską a japońską.

Bitwa ta odbyła się w sto lat po bitwie pod Trafalgarem, stanowiąc pierwsze spotkanie nowoczesnych okrętów wojennych. Była próbą nowych pancerników, nowoczesnych dział okrętowych, oraz niewypróbowanych jeszcze w wielkich bitwach morskich — okrętów podwodnych. Miała ona olbrzymie znaczenie nie tylko dla państw, które ją stoczyły, ale również dla takich potęg morskich jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Francja, przez doświadczenia i spostrzeżenia, jakie z niej wyniesiono.

Warto tu przypomnieć, że tak rosyjska marynarka wojenna jak i japońska zorganizowane były przy pomocy Brytyjczyków. Rosyjska marynarka wojenna była starsza, bo już car Piotr Wielki z końcem XVII-go wieku tworzył ją przy pomocy doradców angielskich. Co zaś do japońskiej marynarki wojennej, to powstała ona dopiero około roku 1860, przyczem wielu brytyjskich architektów okrętowych, doradców i instruktorów było w niej przez kilkadziesiąt lat zatrudnionych.

Zwycięstwo Japonii pod Cuszimą postawiło ją odrazu w rzędzie światowych potęg morskich. Marynarka rosyjska została dosłownie unicestwiona. Wystarczy przytoczyć cyfry, że na 38 okrętów rosyjskich biorących udział w bitwie, 20 zostało zatopionych, 7 dostało się do niewoli, 6 zostało internowanych, 2 ugrzęzły na mieliźnie, tylko 3 okręty powróciły do baz.

Na okrętach rosyjskich zabitych zostało 4.830 oficerów i marynarzy, a na japońskich tylko 117. Straty japońskie w okrętach wojennych były również nieznaczne.

MIECZYSŁAW PRZECZOWSKI

Z kampanii francuskiej

Latamy na "Cyklonach"

/Te wspomnienia odtwarzają odczucia z przed dwu lat. Zachowaliśmy całą ostrość, całą gorycz odczuć tamtego okresu, choć dziś, jeszcze głębiej niż wtedy, co raz głębiej odróżniamy od Francji, która odstąpiła od walki, Francję, która się nie poddała, nie poddaje i—wierzymy w to—nie podda się nigdy./

Niech żyje Francja! Tak: niech żyje Francja, ale nie ta z czerwca roku 1940. Nie ta!

Długo nie było samolotów dla Polaków. Długo nie chciano im wierzyć, że chcą walczyć i że walczyć potrafią. A gdy w marcu 1940 roku przyszły dwadzieścia trzy maszyny myśliwskie jako sprzęt przeszkoleniowy dla polskiej grupy w Bron /Lyon/, to do połowy maja nie było do nich ani jednego karabinu maszynowego. Natomiast ktoś uporczywie rozpuszczał pogłoski, że całe polskie eskadry z cysternami /!/ przelatują na stronę niemiecką. Całe eskadry —podczas gdy nie istniała jeszcze żadna . . .

A później—przyszedł ów czerwiec. Wyznaczono Polakom obronę lotniczą różnych obiektów przemysłowych, parcelując ich po dwóch, po trzech na t.zw. "kominy" i klucze. Wtedy dowiedli, że latają i walczą lepiej, niż Francuzi.. Wtedy zaczęto ich cenić—zbyt późno . . .

Dostaliśmy zadanie obrony Lyonu, potem Paryża, potem rejonu północnej Sekwany. Ten ostatni rejon był duży i trudny, ale było tam przecież, prócz nas, kilka dywizjonów francuskich: w Polsce stosunek sił był dla nas dwukrotnie gorszy. Więc—co tu gadać?—Wdzięczność dla Francuzów zalała nam serca: braterstwo broni, za naszą i waszą, i tak dalej.

Tylko te maszyny . . .

Myślałem z początku, że chyba zapomniałem latać. Ale inni też mieli to samo: Caudron "Cyklon" nie chciał iść w górę. Szybkość miał; owszem. Wyglądał zgrabnie i miło. Nawet uzbrojenie było nienajgorsze. Lecz jeżeli nieprzyjaciel leciał o 500 metrów nad nami, nie sposób go było zaczepić . . .

Potem zaczęły wyłazić defekty. Silnik się grzał, rozregulowywał się automat do zmiany skoku śmigła, psuły się amortyzatory, zegary, zacinał się mechanizm do chowania podwozia, rozdymała się maska przy pikowaniu na dużej szybkości . . . Wreszcie zaczęły odpadać w powietrzu stery i stateczniki . . .

"Cyklon" bardzo pięknie wyglądał na rysunku, ale wyszedł z fabryki w serii podczas wojny. Pracowały nad nim miłe, roześmiane robotnice z malowanymi różowym lakierem paznokciami. Dwa prototypy rozleciały się przy próbach fabrycznych, więc próbę serii cichaczem "powierzono" Polakom, już na froncie.

—I co tu można poradzić?—zapytywali "fachowcy."

—Wasi mechanicy są wspaniali —powiedział mi inżynier, kierujący tą ekipą.—To wcale nie ich wina. Ja zaś mogę tylko powiedzieć panu prywatnie: trzeba zawiesić loty na "Cyklonach." Żaden Messerschmidt nie jest tak groźny dla życia waszych pilotów, jak ta tandeta.

Francuska komisja wojskowa zawiesiła loty na "Cyklonach," ale nazajutrz polecieliśmy na zadanie: lepiej było latać na tych trumnach, niż nie latać wcale, a tylko taka alternatywa stanęła przed nami. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że Francuzi mogli byli nam dać kilkanaście Curtiss'ów albo Devoitine'ów z pośród stu kilkudziesięciu gotowych i następnie spalonych w składnicach Burges i Tuluzy. Tego nikt z nas im pewno nie zapomni; resztę moglibyśmy przeboleć i puścić w niepamięć.

Wielu z nas pewnie zapomniało i przebolało tę resztę. Ja wspominam tylko drobną jej część—bez gniewu już i bez bólu. Raczej z uśmiechem politowania, *oh, nos Alliées*. Bo czyż nie na taki właśnie uśmiech zasługuje tani frazes w jednym z ostatnich rozkazów francuskiej Kwatery Głównej, że żołnierz polski okazał się godny tradycji żołnierza francuskiego?

Chyba nie tego francuskiego żołnierza z roku 1940?! . . . Myślę, że polski żołnierz nie zasłużył na porównanie z francuskim. Polacy okupywali honor życiem, nie na odwrót. I—Warszawa broniła się do końca, choć—tak samo jak Paryż—była "miastem otwartym." I—całość polskich sił zbrojnych, które broniły frontu długiego na 2.000 kilometrów liczyła niewiele więcej ludzi, niż francuska Armia Północna, która broniła 200 kilometrów pod Dunkierką, a oparła się aż . . . w Wielkiej Brytanii. I wreszcie—polscy lotnicy na swoich stu siedemdziesięciu starych myśliwskich samolotach spuścili na ziemię w Polsce koło sześciuset maszyn niemieckich, podczas gdy 1.000 francuskich myśliwców nie zdołało dociągnąć do tej cyfry . . .

Ale—mniejsza o to: to są sprawy na wielką skalę i nie do mnie należy ich poruszanie.

Natomiast są sprawy drobniejsze, bardziej, że tak powiem—osobiste, o których trudniej zapomnieć, choćby się tego pragnęło. Sprawy koleżeństwa w powietrzu, między lotnikami. Nic na to nie poradzę, że te sprawy jeszcze dziś wracają, jako wspomnienie.

Na dwa dni przed zawieszeniem "Cyklonów" nasz patrol złożony z trzech samolotów spotkał w powietrzu 12 Messerschmidtów 110. O 2.000 metrów poniżej patrolowała francuska eskadra Curtiss'ów, ale żaden z Francuzów nie przerwał tej nudnej pracy, aby przyjść z pomocą Polakom. Zato po wylądowaniu zgodnie potwierdzili, że polski patrol zestrzelił czterech Niemców.

Pamiętam, że francuskie dowództwo grupy myśliwskiej nie tylko nie zaliczyło Polakom tych czterech zniszczonych Me 110 /ponieważ walka odbyła się w rejonie owej eskadry Curtiss'ów/, lecz udzieliło nagany dowódcy patrolu za atak na czterokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela.

Między innymi uwagami na ten temat francuski dowódca grupy podał na odprawie do wiadomości dowódców eskadr odstraszający przykład lekkomyślności innego Polaka, mjr. W., który tegoż dnia na czele trójki "Cyklonów," mając za sobą tylko jeden klucz francuski /również 3 maszyny/—zaatakował osiem Me 109. Francuzi "nie zdążyli" mu pomóc i prędko wylądowali na lotnisku, a polskiej trójki dotychczas nie ma . . . Pewnie w ogóle nie powróci.

Pamiętam również, że ten "odstraszający przykład lekkomyślności" nie wywarł na nas oczekiwanego wrażenia, bo nazajutrz po zawieszeniu lotów na "Cyklonach" nasz dywizjon zaatakował 18 Me i 50 Do nad Sekwaną w okolicy Rouen, nie licząc bynajmniej na pomoc kręcących się tu i ówdzie miejscowych patroli francuskich. Francuzi znów lojalnie zameldowali, że spuściliśmy pięciu Niemców w ich rejonie; my—żegnaliśmy trzech naszych kolegów, którzy zapłacili życiem za to zwycięstwo.

Pamiętam i to, że w parę dni po tej bitwie wysłuchaliśmy radiowego komunikatu z Paryża o "bohaterskim ataku polskiego dywizjonu, który w dziesięć maszyn rzucił się na sto samolotów niemieckich i zestrzelił kilkadziesiąt." Zgrzytaliśmy wtedy zębami, bo na sprostowania nie było czasu.

Pamiętam wreszcie, jak 18 czerwca—już po rozejściu się wiadomości o zawieszeniu broni—podczas niemieckiego nalotu na Rochefort wystartowali do walki tylko dwaj Polacy. Wystartowali wreszcie na dobrych samolotach, które dywizjon właśnie otrzymywał: na Blochach. Francuzi—ilu ich było—patrzyli z ziemi na tę ostatnią walkę. Patrzyli ciekawie, przejmowali się, ale nie polecieli z odsieczą.

Jeden z oficerów zaczął bić brawo kiedy z pod obłoków zwaliły się dwa Heinkle, zestrzelone przez tych dwóch polskich szaleńców. Popatrzyłem mu z bliska w oczy. Zaczerwienił się i odszedł zawstydzony.

Nasz dywizjon zdobył piętnaste i szesnaste zwycięstwo w tym ostatnim dniu francuskiej kampanii, ale ogółem Polacy zestrzelili we Francji ponad 70 maszyn niemieckich.

Nie wiem, czy Francuzi będą nam to pamiętali. Może . . .

---

23 czerwca, po wielu przejściach, których częściowo nie pamiętam z powodu nawrotów malarii, znalazłem się w małym porcie St. Jean de Luz i załadowałem się na transportowiec brytyjski "Arandora Star," który po dwudniowej podróży zakotwiczył w Liverpool'u.

Byłem otępiały jak kłoda drzewa. Poruszałem się mechanicznie, mało zwracając uwagi na to, co się wkoło mnie dzieje.

Wyładowywaliśmy się na czarne, zadymione molo. Dźwigałem swoją walizkę z wysiłkiem i z rezygnacją. Wtem gdzieś z boku podniósł się zgiełk i gwar głosów.

—*Vive la France*!

Obejrzałem się. Po schodni małego umorusanego sadzą parowca maszerowali francuscy żołnierze-ochotnicy, którzy razem z nami przybyli na tę Wyspę Ostatniej Nadziei.

—Niech żyje Francja!

PORUCZNIK HERBERT

Szczęście żołnierskie

Brygada, poprzedzona szpicą z trzech czołgów i kilku motocykli ruszyła w jednej niewielkiej już kolumnie. Przydzielony nam sprzęt czołgowy, francuskie czołgi R.35 były doskonałe, jeśli chodzi o wytrzymałość, ale dużo za wolne, żeby pracować razem z nami w marszu. Robiły najwyżej 15 km na godzinę. No i benzyna. Pożerały morze benzyny, która teraz była dla nas ważniejsza, aniżeli jedzenie i picie. Nie można jej było zdobyć, nigdzie ani kropli. Miał z nami iść na front drugi batalion—szybkie czołgi, które chodziły 40 km na godzinę, ale Francuzi właśnie tamte odebrali i przydzielili jakiejś jednostce francuskiej. I właśnie teraz, kiedy całym zagadnieniem wyjścia przed czoło Niemców, nie była kwestia dni, ale po prostu godzin, musieliśmy całą kolumną maszerować bardzo wolno, bo czołgi nie mogły prędzej.

W rejonie Flavigny szpica nasza natknęła się na niemieckie samochody pancerne. Na zewnątrz pierwszego z nich siedział oficer francuski i machając białą chustką, zawiadamiał o zawieszeniu broni. Nasi i Niemcy rozjechali się bez strzału, ale wytworzyła się głupia sytuacja. Nikt z nas nie wierzy w to zawieszenie —pewnie nowy trick niemiecki— czyżby naprawdę Francuzi przestali się bić? Jest 17 czerwiec, godz.11.10.

Kolumna zatrzymuje się. Biegnę na czoło. Jesteśmy prawie na grzbiecie małej fałdy terenowej. Z prawej i z lewej strony drogi zboże. Za nami jakieś 300 m przecina tę drogę szosa „narodowa" na Dijon. Przed nami widzę wyraźnie pierwszy samochód niemiecki. Zdaleka widoczny biały krzyż w czarnym obramowaniu. W tym czasie nasza obsługa ustawia działko ppanc. wzdłuż drogi.

Dowódca dywizjonu daje mi rozkaz zajęcia stanowisk w zbożu tuż przy drodze. Zajmujemy stanowiska. Nasi motocykliści znajdują się już za samochodami niemieckimi. Jest tam Władek M. ale nic nie mogę dojrzeć co się z nimi dzieje. Strzałów żadnych nie słychać. Dziwię się, czemu nasze działko nie strzela, przecież mają ich jak na talerzu. Dziwna sytuacja, nasze karabiny na stanowiskach gotowe—możemy wygarnąć jak cholera. Odległość oceniam na 600 m, ale mam rozkaz nie strzelać przed działkiem ppanc.

Biorę lornetkę i obserwuję co się dzieje na przedpolu. Pierwszy samochód niemiecki rusza powoli do przodu—zatrzymuje się stoi cały czas na środku drogi.

Kiedyż to działko walnie? Pewnie czekają aż Niemcy podjadą bliżej. Jakieś dwa kilometry przed nami widzę nieduży las, a zza niego wznoszą się długie tumany kurzu. Pewnie jakaś kolumna wali. W wiosce, do której mieliśmy dojechać muszą być Niemcy. W tej chwili podbiega do mnie G.

—"Panie poruczniku do wozów!"

—"Co jest?" "Dlaczego!"

—"Zawracamy do tyłu i jedziemy inną drogą."

Z żalem opuszczamy stanowiska. Pytam się go, co z motocyklistami? Nic nie słyszał, ale mówili, że był meldunek o dużej kolumnie niemieckiej we wsi przed nami.

Podchodzimy do wozów. Od dowódcy dywizjonu się dowiaduję, że dowódca Brygady postanowił przesunąć oś marszu na Bagneau les Juifs i Lamargette. Będziemy walczyli tylko w wypadku ostatecznym.

Zawracam kolumnę szwadronu i maszerujemy dalej w ramach całej Brygady. W rejonie Lamargette zatrzymujemy się w kotlinie małej rzeczki. Rozpoznania wysłane na wszystkie strony stwierdziły wszędzie Niemców i to w bezpośredniej odległości.

Podchodzę do czoła, gdzie stoi grupka oficerów ze sztabu. Pytam się co z Władkiem M. Okazuje się, że Władek jechał w drugim motorze. Gdy podjeżdżali do zakrętu drogi, naprzeciw nich wyjechały dwa niemieckie samochody pancerne. Na pierwszym siedział kapitan francuski i machając białą chusteczką krzyczał do niego. "*Ne tirez pas —l'armistice*!" Naturalnie Władek zgłupiał, a w dodatku było to tak niespodziewane, że pierwszy motor w ogóle przejechał obok Niemców—on się zatrzymał, bo Niemiec, który wyglądał z klapy wbrew temu, co krzyczał Francuz wyciągnął potężne parabellum i wołał "*halt, halt*!"

Francuz zaczął Władkowi tłumaczyć, że ma podejść bliżej i usiąść obok niego na stopniu samochodu. Wojna jest skończona, działania przerwane, rozejm. Władek słucha tego wszystkiego, ale stoi przy swoim motorze. Odległość wynosi jakieś 5 metrów.—Co robić? Skoczyć do rowu—Niemiec napewno strzeli—5 metrów, pewny strzał—musi trafić.

Władek trzyma lewą rękę w kieszeni—ma w niej granat. Podchodzi wolno do samochodu niemieckiego, spokojnie siada obok Francuza na błotniku, ale jest mu bardzo niewygodnie, w dodatku operuje tylko prawą ręką, lewą trzyma w kieszeni granat. Mówi do Francuza, że musi przesiąść na drugą stronę samochodu, tam będzie mu wygodniej. Potem zwraca się do swego kierowcy, że ma, w myśl zresztą polecenia Francuza, jechać wolno do wsi przed nimi. Kierowca patrzy mu prosto w oczy. Sprytny chłopak, myśli tak samo i to samo. Pada odpowiedź;

—"Tak jest—wiadomo!"

Motocykl rusza i odjeżdża za zakręt. Drugi samochód niemiecki zjeżdża z drogi i jedzie do lasu odległego o jakieś 800 m. Dzieje się to w bardzo krótkim czasie. Władek siada na błotniku. W głowie tylko jedna myśl: rzucić czy nie rzucić . . . . i jak to zrobić?

Niemiec chowa się do środka. Samochód powoli rusza z miejsca. Decyzja . . .—Władek skacze do rowu. Bieg. Samochód wcale się nie zatrzymuje. Teraz tylko jedna uwaga, trzeba mocno trzymać granat, jest odbezpieczony. Najmniejsza nieuwaga i może trzasnąć w ręku. Niemcy odjechali już jakieś 100 m. Zatrzymują się dopiero teraz. Ale jakby im wcale na nim nie zależało, nawet nie patrzą w jego stronę.

Teraz mają przed sobą poważniejsze zmartwienie. Jest to właśnie moment, kiedy zobaczyli naszą straż przednią, na wzgórzu. Może dojrzeli nawet tę niespodziankę, która miała ich przywitać — nasze działko przeciwpancerne. W tym czasie Władek biegnie już drogą—tu gdzieś musi czekać kierowca z motorem. Jest. Stoi po prostu z boku drogi i czeka. Pistolet. Siadają. Potem gaz i . . . w pierwszą boczną drogę na lewo. Już siedząc w koszu Władek zabezpiecza granat. Jeszcze się przyda . . .

Patrzymy wszyscy na niego. Jesteśmy zadowoleni, że wrócił i że jest cały. Teraz widzę go jak stoi obok swego motokosza i przeciera okulary. Cały zakurzony. Zdjął hełm z głowy i przejechał kilka razy grzebieniem po włosach. Pot na skroniach i na czole miesza się z dużą warstwą kurzu. Jest zgrzany, ale uśmiecha się do nas. Ma za sobą jeszcze jedną przygodę wojenną. A na wojnie, tak jak w każdej grze—trzeba mieć szczęście.

Kilka dni temu, pod Champaubert, niemieckie działko przeciwpancerne strzelało do jego motokosza trzy razy, z 50 kroków. Pierwszy pocisk poszedł obok, drugi między nim a kierowcą, a trzeci prosto w błotnik od koła przy koszu. W błotniku zostały dwie okrągłe dziury, wycięte jak nożem, jakieś pół centymetra od opony. Ta mała różnica zadecydowała o tym, że motor nie szurnął do rowu, albo po prostu nie nakrył obu pasażerów. Władek ma za sobą już kilka takich niedoszłych możliwości, ale . . . —trzeba mieć trochę szczęścia.

Czasami po powrocie z jednego zadania, nie zdążył jeszcze dobrze otrzeć kurzu z twarzy i łyknąć trochę jakiegoś "vin du pays," a już trzeba było znowu jechać, jak się u nas mówiło "na wprost." Twarz ma zawsze pogodną, często uśmiechniętą. Typowa twarz żołnierza, który wierzy, że szczęście żołnierskie jest zawsze z nim. Tak samo jak wielu z nas wierzy on, że szczęście to jeździ sobie na koszu motocykla, albo siada na siodełku z tyłu za kierowcą, opierając swe ręce na jego ramionach. A czasami po prostu włazi do chlebaka i tam się wozi.

Gdy zaczyna się walka i Władek bierze pistolet do ręki, wówczas ono szybko wskakuje na lufę, potem siada na końcu muszki i stamtąd spokojnie spogląda na pole bitwy, na nieprzyjaciela i na cały swiat, a z chwilą, gdy pada pierwszy strzał, gdy po polach bitew zaczynają krążyć widma żołnierskich przeznaczeń—to szczęście decyduje o celności, która ratuje życie jego wybrańcom. To nic, że kabura od pistoletu jest mała a muszka jeszcze mniejsza. Szczęście żołnierskie jest też nieduże—chodzi tylko o to, żeby go zawsze było choć . . . trochę.

W tej chwili Władek wsiada do kosza i znowu jedzie z zadaniem. Jak zwykle—rozpoznanie. Jest jeszcze jedna droga, którą ewentualnie Brygada będzie mogła wyjść z żelaznego pierścienia pancernych kolumn korpusu gen. von Reichenaua. Trzeba rozpoznać ten kierunek.

Cały patrol składa się z trzech motocykli. —Zapalili motory, ruszyli, jak zawsze "na wprost." Przejechali mostek na rzeczce, potem trochę pod górę—las— i znikli . . .

W tumanie kurzu, który pozostawili za sobą, nie mogę dojrzeć, czy oprócz Władka i kierowcy, ktoś jeszcze jedzie na ich motorze. Patrzę przez chwilę za nimi. Nie mam złych przeczuć, ale jakoś tak dziwnie myślę, jakbym już wiedział, że z tego patrolu nikt nie powróci.

Dzisiaj myślę, że tylko dlatego nie widziałem nikogo oprócz Władka i kierowcy na ich motorze—ponieważ ten "ktoś" siedział głęboko w kaburze jego pistoletu, a może nawet już spacerował po lufie, zerkając co chwila w stronę muszki.

Ja wierzę, że jeżeli szczęście żołnierskie pójdzie za kimś, to idzie z nim razem na dolę i niedolę. I dlatego wierzę, że ten patrol powróci.

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

O jutro demokracji*

"Czerwony"—jak go nazywają—biskup z Bradford w swych rozważaniach wielkanocnych zamieszczonych w "*Reynolds News*" pisze: "Wielkanoc to historia Życia, które wyrosło ze śmierci, Światła, które przepędziło ciemność, Dobra, co zrodziło się ze zła, najgorszego w człowieku, co wywołało najlepsze z Boga. Ludzie ukrzyżowali Chrystusa; Bóg wyniósł go z pośród umarłych." "Bo dobro może zrodzić się ze zła, ale dzieje się to tylko wtedy, gdy ludzie sami tego chcą. Wojna niedwuznacznie obaliła wiele naszych starych zasad gospodarczych, starych przesądów rasowych. Jesteśmy zupełnie innym narodem, niż byliśmy nim ta wojna wybuchła . . . jesteśmy zdecydowani nie powrócić nigdy do roku 1939."

Zasklepieni w "zapóźnych żalach, potępieńczych swarach," my Polacy w Anglii wiosny 1942 r., jedyni bodaj na tej wyspie, nie czujemy tego rewolucyjnego wiewu, który rośnie jak lawina w sercach i umysłach ludzi walczących o życie. /A może to tylko niedołęstwo naszej oficjalnej i nieoficjalnej propagandy nie umie pokazać tych myśli i dążeń, które istnieją w naszym emigracyjnym społeczeństwie?/

Wojna dzisiejsza jest wojną idei. Walczymy nie tylko o Gdańsk, Lwów, czy Warszawę. Walczymy nie tylko o Maltę, Londyn czy Tobruk. Mogą—i napewno są—dla większości z nas te miasta symbolami, bez których żadna idea nie ma dla człowieka wartości; ale symbol nie jest ideą.

Walczymy także o nagie życie. Wszyscy. Polacy, Anglicy, Chińczycv, Amerykanie, Hindusi. Przez długi czas wydawało się zatem ludziom, że zwycięstwo automatvcznie rozwiąże wszystkie nasze zagadnienia, uchyli nasze troski. Lecz w toku walki—a może w obliczu klęski—ludzie poczęli uświadamiać sobie wskazania ofiary Chrystusowej. "Dobro może zrodzić się ze zła." I wtedy walka o nagie życie, walka o symbole wspomnień, przerodziła się w rewolucję. Nie walczymy już więcej o wczoraj. Walczymy o jutro.

Kapitalizm się przeżył. To fakt niezaprzeczalny nawet przez mędrkowania półinteligentów. Epoka wolnej konkurencji należy już dawno do przeszłości. Epoka międzywojenna była widownią wzrastających wpływów i znaczenia plutokracji przemysłowej, wielkich koncernów i karteli międzynarodowych, które w latach bezpośrednio poprzedzających tę wojnę zuchwałą ręką sięgnęły po władzę. Rządy arystokracji "wiejskiej" miały swego czasu moralne i rzeczowe uzasadnienie w bezinteresowności tej klasy albo raczej kasty /bezinteresowności wynikłej zarówno z jej niezależności materialnej jak i z pewnej granicy nasycenia/ oraz w jej tradycyjnym wychowaniu do rządzenia.

Natomiast owa nowa kasta wielkich magnatów przemysłu i pieniądza nie była ani bezinteresowna /z samego założenia/ ani odpowiednio przygotowana. Dało to w wyniku tę mieszaninę chciwości, małoduszności, zawiści, lekkomyślnego ryzykanctwa, nieprzewidującego i sobkowatego tchórzostwa, żarłocznej łapczywości, mściwości i chytrości, która zrodziła Hitlerów, Mussolinich, Lavalów, Tojów etc. /żeby wymienić tylko naszvch wrogów/. Powrotu do "dobrego" kapitalizmu—kapitalizmu pionierów rewolucji przemysłowej—nie ma. Szachownica historii nie zna skoków. "Dobry" kapitalizm nie może się wrócić tak samo jak nie może się wrócić feudalizm. Oto jest założenie tego przewrotu, jaki się dokonuje w umysłach Brytyjczyków.

I niech się nikomu nie zdaje, że jest to tylko "rewolucja" paru intelektualistów rozpatrujących teoretycznie sprawę jutra demokracji. Piszą i mówią o tym wszyscy. Książki, broszury, artykuły w czasopismach i dziennikach /nawet całe tylko temu poświęcone pisma jak n.p. "*To-Morrow*" lub "*Peace News,*" zalewające angielski rynek księgarski, czynią nieraz wrażenie jakiejś planowej, zorganizowanej akcji. Mówi się o tym na wiecach, na odczytach, na ulicy, w pub'ie i we fabrykach. Mówią wielcy i mali, mężczyźni i kobiety. Zabierają głos politycy, przemysłowcy, urzędnicy państwowi /*Civil servants*/, kler, uczeni, żołnierze i robotnicy. /Rzecz ciekawa, że komuniści na ten temat milczą/. Wydaje mi się, że atmosfera Francji Ludwika XVI-ego i encyklopedystów wyglądać musiała podobnie.

Z wielu głosów wybieram dla zorientowania czytelników w tej dziedzinie myśli angielskiej trzy głosy.

GŁOS PIERWSZY

"The Church Union," Związek grupujący członków "Church of England" wydał broszurę p.t. "*A Christian Realm,*" która jest ujęciem poglądów na sprawy społeczne, gospodarcze i kościelne, poddaną "pod rozwagę i dyskusję chrześcijan."

"Nasz system gospodarczy jest nie tylko nędzny, ale nawet w ogóle nie działa. Istnieje w tej sprawie tradycja katolicka którą powinno się odnajdywać i stosować do spraw naszego wieku. Jej podstawa jest zaznaczona w powiedzeniu św. Antoniego z Florencji, że wytwarzanie jest dla człowieka a nie człowiek dla wytwarzania. Tylko taka filozofia społeczna, która skieruje ludzi raz jeszcze do ich prawdziwego, bożego przeznaczenia, może odbudować porządek społeczny, w którym ludzie /a nie towary/ będą rzeczą główną i który potrafi uszanować godność człowieczą. Tradycja ta wskazuje, że stanie się to w miarę jak—

1/ Odpowiedzialność i możliwości wynikające z posiadania własności prywatnej i kontroli nad dobrami staną się udziałem wszystkich a nie—jak to jest obecnie—tylko mniejszości.

2/ Zasada sprawiedliwej ceny regulująca kwoty, za które towary i usługi są wymieniane, zostanie znowu wprowadzona.

3/ Rozróżnienie pomiędzy produktywnymi a nieproduktywnymi kredytami zostanie ustalone a odsetki od tych ostatnich /t.zw. lichwa/ obalone. Należy przytem zdać sobie sprawę z tego, że władza, jaką uzyskuje się nad ludźmi dzięki kontroli pieniądza ma obecnie znacznie głębiej sięgające skutki, niż stosunkowo proste przypadki lichwy w przeszłości, i będzie zatem tym trudniejsza do usunięcia."

"Jeżeli pewnej grupie ludzi udaje się korzystać z głupoty społeczeństwa, to będzie ona chętnie popierać taki kościół, który zgodzi się ograniczyć swe posłannictwo do kazania, pilności, zadowolenia i skromności. Dlatego to rozrastająca się w ostatnich dwustu latach burżuazja /*merchant classes*/ uważała religię ze rzecz dobrą; lecz przestała tak myśleć, gdy przez chrześcijańskich socjalistów kościół począł się interesować nie tylko tym, w jaki sposób ludzie robili rozmaite rzeczy, ale także rzeczami, które robili."

"Nie ma celu kazanie o zasadach małżeństwa chrześcijańskiego rodzinom . . . w których nowe dziecko oznacza niedożywienie dla reszty."

GŁOS DRUGI

Nawet oficjalna maszyna partyjna, tak ciężka i nieruchliwa zwłaszcza w Anglii, gdzie system dwupartyjnv zmusza partie do wielkiej rozpiętości celów i . . . kompromisów — musiała zabrać głos. Nie Torysi—rzecz jasna—choć i w konserwatywnej partii parlamentarnej co raz częściej słychać wołanie o śmiałe zmiany społeczne, ale "*Labour Party.*" Niedawno ukazał się raport tymczasowy /"*The Old World and The New Society. A Report on the Problems of War and Peace Reconstruction*"/ wydany przez komitet wykonawczy "*Labour Party.*"

Obok zasadniczego socjalistycznego żądania — upaństwowienia wielkiej własności prywatnej—raport wysuwa do dyskusji cały szereg spraw, które dotychczas nie znalazły w Anglii praktycznego rozwiązania, a mianowicie: sprawę zabezpieczenia ludziom pracy — pełnego zatrudnienia; sprawę odbudowy Anglii w sposób bardziej logiczny i . . . higieniczny niż to było do tej pory; sprawę ubezpieczeń społecznych, które należy postawić na poziomie zabezpieczającym dostateczne zdrowie, pożywienie i opiekę na starość dla wszystkich obywateli; sprawę wychowania i kształcenia młodzieży.

Raport cytuje prezydenta Roosevelt'a: "Zasadnicze sprawy tego gospodarczego i politycznego porządku którego oczekuje nasz lud, są proste. Są to:

Równe szanse dla młodzieży i dla innych.

Praca dla tych, którzy mogą pracować.

Zabezpieczenie dla tych, którzy potrzebnia zabezpieczenia.

Koniec specjalnych przywilejów dla nielicznych.

Zachowanie swobód obywatelskich dla wszystkich.

Zużytkowanie owoców postępu naukowego dla stałego podnoszenia stopy życiowej jak najszerszych mas."

Trudno streścić ten raport, który z samego założenia jest dopiero "materiałem do dyskusji," pragnę jednak na marginesie zwrócić uwagę na jedno znamienne zdanie: "Brytyjska Partia Pracy b-dzie nalegała, aby potęga niemieckiego militaryzmu . . . została zupełnie zniszczona." "Ludy Niemiec, Włoch i Japonii muszą ostatecznie zdać sobie sprawę z tego, że potęga jaką narody miłujące pokój mogą zmobilizować przeciw napaści jest przemożna w sile i bezwzględnie zapewnia zwycięstwo."

To przeciwstawienie ludów Niemiec, Włoch i Japonii narodom miłującym pokój jest mimowolnym komplementem dla Lorda Vansittarta. Teza winy Niemiec jest tak oczywista i tak nieprzeparcie każdemu się dziś narzuca, że potrafi zagłuszyć nawet oficjalną doktrynę partyjną.

GŁOS TRZECI

Sprawę upaństwowienia produkcji stawia bardziej stanowczo nawet niż raport *Labour Party*, liberalny poseł Sir Richard Acland, autor książki p.t. "*What it will be like in the new Britain. A detailed forecast of the New Order in Britain*" /V. Gollancz, Ltd. 1942. 3/6/. Sir Richard Acland wychodząc ze założenia, że słowo "socjalizm" przez sto lat swego istnienia zagubiło swoją treść i utraciło wartość przez nadużywanie go, określa swój program słowami "*common ownership*"/ wspólnota własności/.

W swej książce oraz w serii odczytów dyskusyjnych zajmuje się on praktyczną stroną "*common ownership'u.*" Sama zmiana naszych charakterów czy "klimatu," w którym żyjemy nie jest wystarczająca. Niektóre cechy obecnego ustroju "choć nie mogą przeszkodzić, aby pojedyńczy człowiek stał się prawdziwym chrześcijaninem, przeciwstawiają się boskiej sprawiedliwości i są przeszkodą, która utrudnia ludziom życie według zasad Chrystusowych." /Z rezolucji konferencji w Malvern odbytej pod auspicjami arcybiskupa Yorku./

Sir Richard Acland rozprawia się przede wszystkim z argumentem przeciwników, że motyw zysku jest motywem tak przemożnym, iż gdy go zabraknie dyrektorzy i kierownicy fabryk nie będą mieli odpowiedniej zachęty, aby postawić wytwórczość na najwyższym poziomie. Przede wszystkim fakt istnienia motywu zysku nie koniecznie jest równoznaczny z najwyższą wydajnością—bo w interesie "zysku" może być /i bardzo często jest/, ograniczenie zarówno produkcji jak i wydajności, ale z drugiej strony jest cały szereg innych motywów, które dają odpowiednią podnietę. Pobudki te mogą być natury idealistycznej jak n.p. ambicja lub ofiara, ale mogą też mieć formę nacisku gospodarczego. Państwo powinno przejąć środki wytwarzania a w szczególności wielką własność.

Samo przez się nasuwa się pytanie, gdzie leży granica pomiędzy "wielką" a "małą" własnością. Sir Richard Acland określa małą własność jako taką, "gdzie właściciel lub grupa właścicieli może i w rzeczywistości wykonuje codzienną szczegółową kontrolę całokształtu pracy." /Inni zwolennicy "*common ownership'u*" a w szczególności G. B. Priestley w swej książce p.t. "*Out of the people*" stoją na stanowisku upaństwowienia wszystkich przedsiębiorstw użyteczności publicznej podczas, gdy przedsiębiorstwa artykułów luksusowych pozostawiono by własności prywatnej./ Właściciele wielkiej własności powinni być wynagrodzeni za poniesioną stratę. Gwałtowne obniżenie stopy życiowej jest rzeczą bardzo bolesną a nowy porządek nie pragnie niczyjej krzywdy.

Gospodarczy sztab główny nowego ustroju będzie odgrywał wobec swego rządu tę samą rolę, co sztab główny wobec naczelnego dowództwa. Będzie opracowywał w szczegółach szeroki plan gospodarczy. W szczególności będzie musiał rozpatrzyć i zadecydować 1/ jaką część zasobów /pracy i dóbr/ należy zużyć na produkcję artykułów natychmiastowego spożycia, a jaką część na produkcję inwestycyjną /domy, fabryki, maszyny, broń etc./, 2/ jakie poszczególne artykuły natychmiastowego spożycia należy wytwarzać i w jakich ilościach, 3/ jakie inwestycje i w jakiej kolejności należy wykonać. Zadanie sztabu ekonomicznego głównego nie będzie ani proste ani łatwe. Jednak nie jest niemożliwe. Rozmaite ministerstwa zaopatrzenia wojennego planują już dzisiaj podobnie i na równie wielką skalę.

Podział dochodu narodowego trudno dzisiaj ustalić. Zależy on nie tylko od tysięcznych współczynników, ale też od woli zainteresowanych. Można jednak ustalić już dzisiaj pewne zasady. "Wynagrodzenie człowieka nie będzie zależało od jego osobistej zdolności wywalczenia sobie swego dochodu od społeczeństwa. Będzie ono zależało od jego praw jako członka społeczeństwa, a te prawa będą wymierzane i określane przez współobywateli na podstawie jego potrzeb i jego umiejętności służenia społeczeństwu." Drobny kapitalista może żyć w ustroju Sir Richarda tak jak dotychczas. Może zatrzymać swój sklepik, warsztat czy ziemię. Musi zrozumieć tylko jedną rzecz. Jego dochód nie będzie wynikiem posiadania własności, lecz nagrodą za pracę.

Jedyną bodajże różnicą między podejściem socjalistów a Sir Richarda jest stanowisko wobec religii. Podczas gdy socjaliści uważają sprawę religii za sprawę prywatną jednostki, to Sir Riehard wierzy, że religia jest rzeczą najbardziej istotną i ważną dla przeprowadzenia i utrwalenia nowego świata "*common ownership'u.*"

WSPÓLNY MIANOWNIK

Te trzy poglądy wzięte z trzech rozmaitych środowisk angielskich —a które zresztą pokrywają się z poglądami większości ludzi piszących na temat jutra demokracji—są zadziwiająco do siebie podobne. I chociaż drogi myślowe, którymi do tych wyników dochodzą są różne, to zbieżności ich są tak wyraźne, tak rzucające się w oczy, że nie sposób ich nie dostrzec. Można myśleć, że jest to wynik skoncentrowanej akcji. A może to tylko logika dziejów?

DOMINIK SZCZERBIC

* Por. nr. 10 "Polski Walczącej" z b.r. Cykl artykułów pod tym tytułem pragnie bezstronnie zapoznać Czytelników z brytyjskim ruchem umysłowym w okół zagadnień przyszłego ustroju świata.

Z korespondencji ś.p. Mastka

Leży przed nami plik kart z widokami rozmaitych miejscowości Anglii i Szkocji, których nie wolno wymienić w druku z nakazów tajemnicy wojskowej. Na odwrocie tych kart dziesiątki, setki podpisów, złożonych rozmaitymi charakterami pisma, wielokolorowymi atramentami, splątują się w dziwaczną arabeskę. I tych podpisów nie wolno podawać w druku. Ale obok podpisów są krótkie zdania podziękowań za odczyty, które ś.p. Mastek wygłaszał na stacjach lotniczych i w obozach Wojska Polskiego, nie długo przed chorobą, krótkie zdania refleksji wywołanych tymi odczytami. Przytaczamy kilka z nich:

"*Dlaczego więcej z nas nie przeszło tej ciężkiej próby*"
1 *Polskie Skrzydło.*

"*Niezapomniane godziny pobytu pana posła Mastka w 309 dyonie lotniczym.*"

"*Panu posłowi Mastkowi, w dowód wdzięczności za wygłoszony odczyt z dnia 24.XI.41, wysłuchany z nadzwyczajnym zainteresowaniem przez korpus oficerski, podoficerów, szeregowych Szkoły Pilotażu.*"

"*Pan poseł Mastek podczas swojej prelekcji w dniu 4 grudnia 1941 połączył nas duchowo z naszymi braćmi w Rosji Sowieckiej. Poczuliśmy, nad jak obszerną przestrzenią żyć umie to co polskie, jak umie przetrzymać prześladowania, mękę i jak wierzy w swoją przyszłość, w swoje przeznaczenie. Dziękujemy za te godziny pięknie przeżyte.*"

"*Szczerze zbudowany, prawdziwie i tylko polskim duchem wykładu.*"

"*Dziękuję szczerze ze swym dowódcą. Odczyt podtrzymał mnie na duchu, a pakt jest taki jak powinien być.*"

"*Imieniem całej Brygady, bardzo dziękuję za odczyt, specjalnie za uwypuklenie dysproporcji, tu i tam.*
Dowódca Brygady Spadochronowej.

"*Jak po orzeźwiającej dobrej kąpieli, po wykładzie pana posła Mastka.*
Dowódca 10-tej Bryg. Kaw."

"*Panu posłowi Mastkowi w serdecznej podzięce, za wspaniały, wzruszający odczyt o Rosji w dniu 5.XII.41 w 11-tej kompanii łączności. Jest to najlepsza i najszlachetniejsza propaganda a równocześnie najlepsza pomoc dla dowódcy oddziału.*"

"67 *Baon czołgów, zorganizowany z ochotników z Ameryki, dziękuje panu posłowi za bardzo ciekawy i interesujący wykład.*"

Wśród tych listów są takie, które nie były skierowane do Zmarłego ale dotyczyły jego tury odczytowej. Oto jeden z nich:

"*Poseł Mastek wygłosił tu niedawno pogadankę, opowiadając swe wrażenia i przeżycia. Wydaje się mi, że ten sposób i podejście jest najtrafniejsze. Kto wie, czy jego przemówienie nie było najlepsze z dotychczas na tematy podobne wygłoszonych. Bo gdy mamy mówić o rzeczach nieprzyjemnych i nielubianych, nigdy nas nikt nie będzie słuchał, jeżeli zechcemy wyraźnie słuchaczy przekonywać, że nie mają racji względnie co gorsze zachwalać. A Mastek o tym wie i jego przeszłość także nie podważa bezstronności zdania.*

Zna duszę tłumu, nie przekonuje go, lecz poddaje tylko pewne tematy do przemyślania, że czyni to w sposób sugestywny, to jego specjalność. Nawet wśród urodzonych pesymistów i opozycjonistów jakoś nie budził sprzeciwu. Można stwierdzić; dobrze się zasłużył sprawie."
...5.*XII*.1941. *bomb. S.M.*

Na zakończenie przytaczamy—za zgodą p. Zofii Sikorskiej—jeden z ostatnich listów ś.p. Mastka pisany na kilka dni przed śmiercią. Brzmi w nim ten sam ton, który pozyskał dla zmarłego działacza serca żołnierzy.

Wielce Szanowna i Droga Pani,

Serdecznie dziękuję za pamięć o mnie i za odwiedziny, przepraszając równocześnie, że czynię to tak późno, ale to już wina choroby, że człowiek nie zawsze może tak jakby to chciał.

Oczekuję teraz operacji głównej, której termin ustalony został na 6.V. br. Na ogół czuję się dobrze i przypuszczam, że zabieg ten zniosę dobrze i że organizm przetrzyma go.

Prof. Jurasz, który otacza mnie troskliwą opieką, robi wszystko co może, by postawić mnie na nogi. Czyni to jednak z wielką przezornością, chcąc zachować maksymalne bezpieczeństwo, unikając wszelkiego ryzyka. Istnieje możliwość, że zabieg ten będzie wykonany w dwóch "ratach"—abym nie przebywał za długo w narkozie.

Chciałbym już sam skończyć z tą chorobą, by wziąć się za robotę, która mnie czeka i do której mnie ciągnie.

Odbyło się konsylium lekarskie: prof.prof. Jurasza, Lermonta, Frazera i Wooda—co mam do zawdzięczenia Ojcu Szan. Pani, za co jestem Mu niezmiernie wdzięczny i zobowiązany.

Nie wiem, czy potrafię kiedyś i czymś odwdzięczyć się za tyle okazanego mi serca i pomocy i to w czasie, kiedy sam uginać się musi pod brzemieniem ciężkiej i wielkiej pracy dla Polski, mając do zwalczenia nie tylko przeszkody ze strony wrogów, ale i często ze strony naszych "kochanych" rodaków na emigracji, ludzi nie przebierających w środkach, by paraliżować swą krytyką uczciwą pracę, wysiłki i poświęcenie.

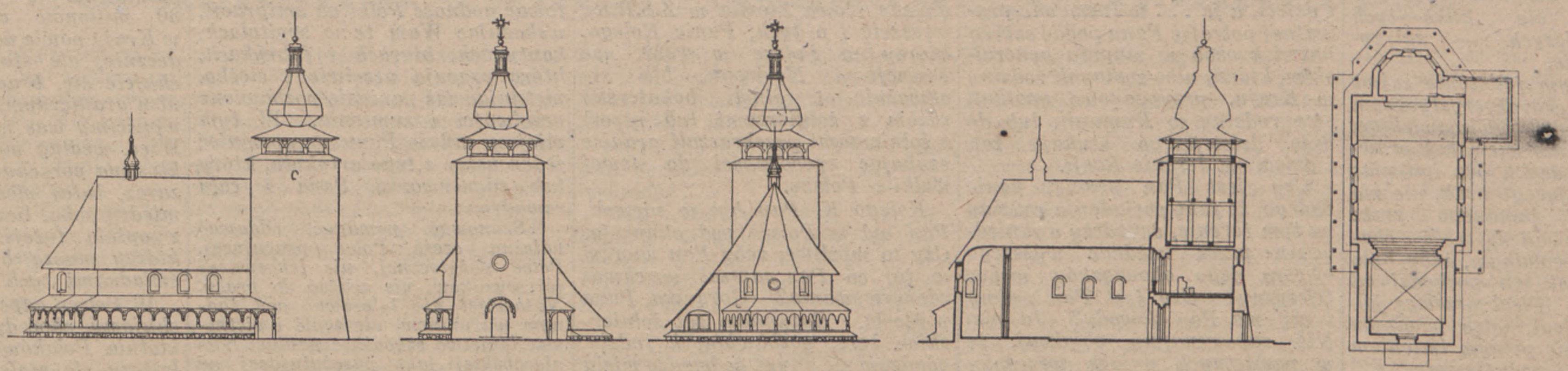
Do mnie dociera tutaj dużo wiadomości źródłowych, mam oczy otwarte i widzę to całe wężowisko. Często ogarnia mnie wręcz przerażenie, że coś podobnego może istnieć i dziać się, a dzieje się to tylko w oparciu na bezkarności i przy niechęci urządzania rozgrywki z warchołami tu na emigracji . . .

Ale rozpisałem się za dużo, postanowiłem jednak napisać Szan. Pani o tym, że są ludzie, którzy Ojca Pani kochają i czczą, umiejąc ocenić należycie Jego poświęcenie i wysiłki dla Polski i dla naszych rodaków, którzy w Kraju znoszą okropne cierpienia.

Kończę, jeszcze raz dziękując za odwiedzenie mnie, co było dla mnie nieoczekiwanym zaszczytem i niespodzianką, łącząc ucałowanie rączek Pani i Pani Zacnej Matce oraz ukłony.

Szczerze oddany i wdzięczny
/—/ Mastek

HARKABUZ — Rzecz o budowie wsi



Zbigniew Dmochowski: Kościół w Harkabuzie

II.*
NOWE ZADANIA WSI PO WOJNIE

Nowa wieś będzie składnikiem planu regionalnego i ogólnokrajowego. Te rozważania, poświęcone są wyłącznie sztuce budowlanej wewnątrz pojedyńczego organizmu wiejskiego. Już w tym skromnym zasięgu zwraca jednak uwagę znaczne rozszerzenie zadań, jakim wieś będzie musiała sprostać. Nie będzie ona tylko wytwórcą surowca, jak dotychczas. Konieczność podniesienia dobrobytu wsi, a jednocześnie znacznego zwiększenia przeciętnej liczby zatrudnionych przy użytkowaniu hektara ziemi uprawnej, zmuszają do zapewnienia wsi możliwości przetwarzania wyprodukowanych płodów rolnych, względnie do przechowywania ich przez czas dłuższy; centralizowane w końcowych fazach procesu, przetwórstwo surowca rozpoczynać się będzie bezpośrednio po wyprodukowaniu, na terenie samej wsi. Powstanie konieczność podniesienia stanu hodowli rasowej: bydła, koni, nierogacizny, drobiu, a także rozwinięcia ogrodownictwa, warzywnictwa, pasiecznictwa. Powstanie konieczność podniesienia stanu oświaty ludności wiejskiej, oraz poziomu życia kulturalnego i społecznego.

Przeznaczenie budynków wiejskich w świetle tych potrzeb rozrasta się ogromnie. O ile na oblicze wsi dotychczasowej składały się zazwyczaj: kościół, jako akcent najsilniejszy, a potem zbiorowisko budynków mieszkalnych i gospodarczych, wreszcie kuźnia i zajazd czy karczma u wylotu drogi głównej—to krajobraz nowej wsi będzie niewspółmiernie bogatszy. Przede wszystkim: duży budynek szkoły powszechnej, czasem—szkoły średniej zawodowej, w większych skupiskach—uniwersytetu ludowego. Dalej—dom ludowy z biblioteką, salą teatralną, łaźnią; ośrodek zdrowia; remiza strażacka. Następnie budynki administracji państwowej i samorządowej. Wreszcie — inwestycje natury społecznej: ośrodki hodowli rasowej, chłodnie, przetwórnie nabiału, owoców i jarzyn; często urządzenia wodociągowe, transformatory elektryczne, stacje obsługi samochodowej. Jak widzimy skala potrzeb powiększona wielokrotnie, przeznaczenie budynków całkowicie nowe, różne od dotychczas na wsi istniejącego.

W POSZUKIWANIU NOWEGO BUDULCA

Budulec, w jakim zaspokajać przyjdzie te potrzeby, ulegnie nie mniej rewolucyjnym zmianom. Trzeba będzie budować bardzo dużo, bardzo tanio, a jednocześnie bardzo dobrze. Powszechne zjawisko odstąpienia od drzewa, jako podstawowego budulca wsi, napewno jeszcze się pogłębi. Rabunkowa gospodarka leśna, prowadzona obecnie przez okupantów zmusi do najdalej posuniętej oszczędności w tym względzie po wojnie. Niezależnie od tego uwzględnić należy postępujące obniżenie jakości budulca drzewnego, które stało się w ostatnich dziesiątkach lat przyczyną wielu nieporozumień: inne możliwości dawał budulec z odwiecznego starodrzewu, inne—standaryzowane kantówki, tartacznie cięte z trzydziestoletnich pni.

Nowa wieś będzie musiała stosować nowe materiały budowlane. Cegłę tam, gdzie tylko będzie to możliwe, niehigieniczne pustaki cementowe napewno znacznie rzadziej, niż dyktowałaby taniość tego budulca. Otworzy się wreszcie szerokie pole do stosowania zastępczych materiałów budowlanych na ceny minimalne, a więc na łatwość produkcji samodziałowej i jak najpowszechniejszą dostępność surowca, oraz na potrzebne wartości konstrukcyjne, wytrzymałościowe i higieniczne.

Przykładowo godzi się tu przypomnieć o szeroko stosowanym na zachodzie, a ostatnio przyjmującym się i u nas, solomicie. Są to płyty prasowane z mierzwy słomianej, zaprawionej specjalną mieszaniną cementową. Jest sprawą godną rozważenia, czy byłaby możność opracowania budulca, o charakterze zbliżonym do solomitu, a który można by produkować w niewielkich warsztatach wiejskich ze słomy i ew. innych łodyg suszonych. Słoma nie od dziś jest uważana za elementarny budulec wiejski, stosowany nie tylko na pokrycie dachów, ale i jako element wypełniający ramowe konstrukcje drewniane (glina z sieczką "pod topór," "reglówka," "glinobitka," zwitki ze słomy moczone w glinie i t.p.).

W ostatnich latach przed wojną wielkie zainteresowanie fachowców wzbudziły chłopskie budynki mieszkalne o ścianach, wzniesionych całkowicie ze słomy plecionej i układanej w specjalny sposób; budynki takie, tynkowane obustronnie, były ciepłe, przewiewne, suche i wystarczająco silne, by dźwigać konstrukcję i pokrycie dachowe. Słoma jest najpopularniejszym chyba produktem ubocznym gospodarki rolnej. Przy użyciu powszechnie znanych odczynników, odbierających jej palność, oraz innych, przeciwdziałających lęgnięciu się robactwa, słoma może walnie się przyczynić do zaspokojenia głodu budulca wiejskiego.

ŹRÓDŁA KSZTAŁTU ARCHITEKTONICZNEGO

Przeznaczenie budynku i budulec —kształtują *formy budowlane.* Zabudowa nowej wsi polskiej zaspokoić ma nowe, nieznane dotychczas potrzeby, ma też stosować nieużywane jeszcze materiały budowlane. Czy wynika stąd konieczność odstępstwa od historycznej kultury budowlanej? Jak ma wykonywać swoje zadanie budowniczy-twórca, ten trzeci i ostateczny czynnik, od którego zależy Architektura?

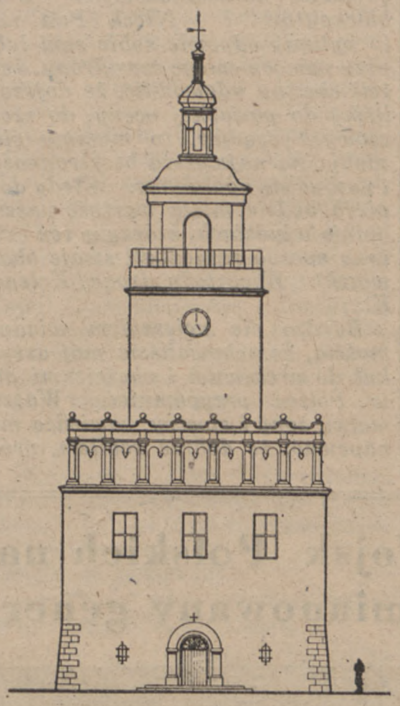
Rozważenie wartości wiejskiej sztuki budowlanej doprowadziło nas do wniosków następujących:

1-) Międzynarodowa w sensie swych wartości ogólnoludzkich, sztuka architektoniczna rozwija się najwspanialej na gruncie rodzimym, na podłożu narodowym.

2-) Podobnie, jak wielka sztuka klasyczna, architektura ludu polskiego powstawała przez powolne, przez pokolenia twórców wydoskonalane, kształtowanie narodowej (a w jej ramach regionalnej) formy budowlanej. Temu zawdzięcza ona swoją wartość bezwzględną, dzięki temu niesie w sobie zaród przyszłego rozwoju.

Wnioski powyższe rodzą nakaz: nowoczesna architektura polska, a więc i architektura wsi, winna być wykwitem, wynikiem rozwoju, sumą, ewolucją a nie naśladownictwem. Jak należy to rozumieć?

Każdy nowoczesny architekt korzysta z doświadczeń i osiągnięć, z całego dorobku sztuki budo-



Zbigniew Dmochowski: Ratusz w Harkabuzie

Plan regulacyjny Harkabuza wykonał Kazimierz Lichtenstein

wlanej—od klasycznej poprzez wszystkie style historyczne. Młody student, przychodzący na uczelnię zawodową ze szkoły ogólnokształcącej, wdraża się najpierw w elementarne zasady kompozycji architektonicznej. Śledząc kolejne fazy rozwoju sztuki budowlanej w jej wyrazie ogólnoświatowym, a przede wszystkim europejskim, student sam przeżywa ten rozwój: od prymitywów osiedli jaskiniowych, poprzez marmury Hellady i Rzymu, pozłociste mroki romańszczyzny i wysokopienność gotyku, poprzez rozmach renesansu i dosyt baroku—aż do osiągnięć lat ostatnich. W ten sposób rozwija się jego wiedza zawodowa i narasta zawodowy instynkt, podświadomy sposób myślenia pojęciami architektonicznymi. Tak zwana nowoczesność tego myślenia jest niczym innym, jak dzisiejszym wcieleniem idei, stworzonej tysiące lat temu i doskonalonej nieustannie. Pozwala to architektowi-modernişcie tworzyć w nowych materiałach i dla nowych zadań—dzieła przeniknięte kulturą artystyczną, doskonaloną przez pokolenia poprzednie.

Obok ogólnych studiów budownictwa młodzi architekci współczesnego świata rozważają formy plastyczne własnego narodu. Dokładne ich poznanie tworzy nowy instynkt architekta, wyciskający odrębne piętno na jego dziele. Tak powstały w Europie narodowe szkoły architektoniczne, tak z pnia ogólnoeuropejskiego wyrastały konary poszczególnych grup narodowościowych i gałęzie podgrup regionalnych. Wystarczy też powierzchowny rzut oka, by ocenić, ile francuskiej tradycji zawierają żelazobetony braci Perret, ile historycznych cech holenderskiego budownictwa posiada nowoczesność Van Oud'a, jak bardzo swoisty charakter mają nowoczesne wille i "cottages" angielskie i szkockie. Że tak jest —to wynik głębokiego wniknięcia architektów w istotę sztuki swego kraju, wynik zdobywanej w trudzie rzetelnych studiów — wiedzy.

ZADANIE POKOLENIA, KTÓRE BĘDZIE ODBUDOWYWAĆ POLSKĘ

"Głęboka wiedza rodzi wielką miłość" powiedział Leonardo da Vinci. Zrodzona z wiedzy miłość kultury plastycznej narodu winna być podstawą myślenia, natchnieniem twórczości architekta.

Pokolenie, które budować będzie miasteczka i wsie nowej Polski, musi się oprzeć na tej prostej prawdzie. Nie zrażając się naszym skromnym stanem posiadania w dziedzinie literatury przedmiotu, młodzi budowniczowie powinni przede wszystkim nauczyć się historii architektury ojczystej. Z książek i z wykładów na uczelniach, z opublikowanych materiałów i z własnych, badawczych pomiarów w terenie muszą poznać—myślą i sercem—sens polskiego modułu i proporcji, muszą opanować gruntownie i dogłębnie zasady polskich budowli w drzewie, kamieniu i cegle, zrozumieć i zapamiętać rodowód i rozwój planu oraz formę i treść zdobnictwa. Stwierdzą wtedy nieomylnie, że istnieje więź, która łączy wszystkie pomniki architektury naszego kraju. Stwierdzą, że poprzez wszystkie dzieła tych, co budowali Polskę drewnianą i Polskę murowaną, przemawiał ten sam twórczy duch: odbicie, wyraz, wypowiedź narodowego geniuszu.

Z obszernej i różnolitej przestrzeni europejskiej sztuki wyłonią się wówczas dwa punkty —nad wyraz dla nas ważne. Jeden: to punkt wyjścia, praźródło, z którego wywodzi się historia naszego budownictwa. Drugi, to etap pracy obecny, w którym architekturę polską kształtować winniśmy sami. Dwa punkty w przestrzeni wyznaczają linię prostą. Dwa punkty w przestrzeni czasu, oznaczające początek, przemiany, i chwilę dzisiejszą, wyznaczają linię rozwoju naszej sztuki budowlanej. Od nas samych zależy, czy zawiniemy ją wstecz, czy odegniemy w bok, czy skierujemy jej bieg—na przód.

Wieś nasza po tej wojnie stanie wobec zadań olbrzymich. Będzie musiała nadrobić zaległości ostatniego stulecia, wyleczyć rany zadane przez najeźdźcę, osiągnąć poziom zachodnioeuropejski. Rozwój, pozostawiony sam sobie sprostałby temu zadaniu po długich, zbyt długich latach. Polska nie może sobie na to pozwolić. Proces, który powierzony własnemu biegowi, zachodziłby w tempie niewiele różnym od dotychczasowego, trzeba będzie przyśpieszyć wielokrotnie. Chemicy potrafią skracać czas przemian, zachodzących w materii; biologowie—czas rozwoju organizmów. Budowniczowie nowej Polski świadomi minionej historii i współczesnych potrzeb, uzbrojeni w znajomość naukowych zasad statyki, konstrukcji i wytrzymałości tworzyw, przyśpieszą proces rozwoju budownictwa naszej wsi w swoich laboratoriach —pracowniach architektonicznych.

Wśród oddziałów armii polskiej, rozsianych po świecie, wielu z nas marzy o tym, by po powrocie do kraju powiększać go przez budowanie. Jak ów harkabuzjer Batorego, niejeden z nas układa sobie, że postawi Polsce wieś. Ale nikt z nas nie idzie teraz do walki ze śmieszną strzelbą o grubej lufie, opieranej na widełkach. Nie strzelamy z "*arquebuse,*" naszą bronią jest działo szybkostrzelne i karabin maszynowy.

Więc nie wybudujemy Harkabuza. Wieś, o której myślimy, wieś, jaką ma zakwitnąć polska niwa—ma być o tyle nowocześniejsza od prastarego, orawskiego osiedla, o ile my, żołnierze Rzeczypospolitej XX wieku, nowocześniejsi jesteśmy od piechoty wielkiego króla Stefana. Ale te same prawa balistyki kierują kulą harkabuzy co pociskiem karabinowym. Podobnie, jak podstawowe zasady projektowania klasycznego przejawiają się w kompozycji i proporcjach stalowego drapacza chmur, tak samo wielka tradycja sztuki polskiej nasycić winna nowoczesne budowle treścią rodzimą.

Nowa wieś polska, wyrosła z podłoża ojczystego, stanie się wówczas współczesnym etapem na drodze rozwoju naszej kultury. Będzie wyrazem Nowoczesnej Szkoły Architektury Polskiej.*

ZBIGNIEW DMOCHOWSKI

*Por. nr. 22 " Polski Walczącej " z b.r.

* Jak każda sprawa o znaczeniu zasadniczym, wyrażony tutaj pogląd na architekturę i przyszłą odbudowę wsi polskiej daje szerokie pole do wymiany zdań. Zwracam się do czytelników, których artykuł zainteresował, by zabrali głos bądź w formie artykułów polemicznych, bądź w listach do Redakcji, lub też do mnie bezpośrednio /Polish Forces P/76/. Wymiana zdań przeprowadzona celem rozszerzenia podstawy rozumowania i pogłębienia wniosków byłaby dla sprawy naszej pracą użyteczną.

ZWYCIĘSKA PARADA

Kompasem na przełaj ciąć lasy i góry,
Nartami rozpryskać skry śniegu
Lub czółnem dziurawym w roztopy dać nura
I cicho wypłynąć u brzegu.

Odrzucać stolice jak zbędne rupiecie,
Przesiąkać przez mury i druty,
Zachłysnąć się morzem i w Alpy się wwiercić
Rozmachem upartej marszruty.

Być Niemcem, Słowakiem, Madziarem lub Serbem,
Uchodźcą, turystą, żołnierzem;
Gdy trzeba—uderzyć, gdy trzeba—to srebrem
Omamić i . . . ugryźć jak zwierzę.

Zamroczyć żal " borem," zaciągnąć się " trupem,"
Zamarzyć o swym Tipperary . . .
Wnet handrę zamienić na drwiny i tupet
—I posłać do jasnej cholery!

Szron sławą ubarwić na fieldach północy,
Vin rouge prosto z żył swych utoczyć,
A płacz " Marsylianki " w ten napój gorący
Zanurzyć i chlusnąć im w oczy.

Sto razy wziąć po łbie i znów w zieleń khaki
Przystroić się kpiąc z grząskiej doli,
By runąć przez żar afrykański atakiem
I wtłoczyć w krtań wroga krzyk: " Polen! . . ."

Wśród dróg—jedna droga pod kul gęstym gradem
—Nie każdy się kulą udławi.
Trzeba dojść, by odbyć zwycięską paradę
Pośród dumnych ruin Warszawy.

EUGENIUSZ ROMAN

Bez black-outu

Pierwszy dzień w Szkocji po podróży angielskiej . . . Na stole paczuszka listów. Zebrało się tego sporo. Będę na nie stopniowo odpowiadał, część zaś odstępuję Redakcji do ewentualnego wykorzystania, ale kilka—tych najserdeczniejszych — zatrzymuję dla siebie.

W dzisiejszym felietonie zajmę się bardzo charakterystycznym listem. Jest podpisany nazwiskiem częstotliwym, nie wiem czy prawdziwym, w dodatku bez imienia; adresu wysyłającego brak, nie ma nawet, "P" łamanego przez cyfrę. Ze względu na treść i charakter listu—wolałbym, żeby było inaczej, bo list ten pochodzi od . . . żołnierza. Pisał przecież jak kolega do kolegi, więc powinien był podpisać się pełnym imieniem i nazwiskiem i podać swoje "P." Jak widać z tego, wymagania moje nie są duże.

List jest wstrząsający o tyle, że wstrząsa zagadnieniami aktualnymi, bolesnymi i porusza żywiej myśl. Będę bardziej przyjacielski od kolegi-wojskowego, tajemniczego korespondenta, i nie podam nawet nazwiska, które widnieje jako podpis na końcu listu, gdyż—ze względu na treść korespondencji—chcę mu na wszelki wypadek oszczędzić ewentualnych kłopotów służbowych. Nazwijmy go zatym kolegą K. Oto list:

"Szanowny Panie Budzyński!

Bardzo lubimy Pana, ale artykuł o kobietach polskich w Anglii bardzo się Panu nie udał. Czytaliśmy niejednokrotnie o tym, że tu musimy wychowywać dzieci, młodzież, aby miał kto w Polsce rządzić, bo tam nie ma oświaty i t.p. Czytamy często w "Dzienniku P." o naszych milusieńkich paniach. Pan pisze, że musimy dbać o "panie," które wychowane tu w twardej szkole, przydadzą się w Polsce. Pana artykuł, jak wiele innych, wydrukujemy w Polsce i będzie się Pan wstydził. Byłem w Polsce pół roku pod okupacją jak uciekłem z niewoli i widziałem nasze Polki.

Bezczelność tak pisać. Jeszcze Pan nie wie, czy Polki, które tu są, wrócą do Polski /z wyjątkami/, mamy dzielne Polki, ale nie tu, wychowane w twardej szkole bomb, głodu i tortur moralnych. Znam tutejsze Polki. Pan sobie nie wyobraża jaki ogrom nienawiści je otaczą wśród nas żołnierzy, one które mężów odciągnęły od walki, wywoziły pieski i t.p. Tutaj można tysiące faktów przytaczać. Wszystko to nie my będziemy sądzić, ale te 30 milionów w kraju, my im tylko "zreferujemy." Teraz nie czas na porachunki, ale niech Pan nam więcej nie pisze o tutejszych Polkach a jednocześnie bezczelnie zapomina o naszych matkach, żonach i siostrach w Kraju.

Piszę bardzo zdenerwowany tak jak zdenerwowany jest cały szwadron. Pana artykuł schowaliśmy do archiwum i w Polsce Panu przypomnimy. Niech Pan nie podchlebia się tej garstce oficerów zawodowych, którzy splamili mundur wioząc na wojnę rodziny, zamiast bić się. Wiemy, że wszyscy generałowie mają tu żony i dzieci.

Nie chcę z Panem żadnej polemiki, w Polsce z Panem pogadamy.

B.K. . . ."

Kochany Kolego K. Zacznijmy od końca. Ponieważ nie chce Pan ze mną żadnej polemiki a do Polski jeszcze kawał drogi, to pogadajmy tutaj po koleżeńsku, na rozum, w miarę możności spokojnie i sprawiedliwie. Nie wiem, czy uda się nam ta rozmowa drukowana, może lepiej było by pogadać w cztery oczy, ale gdzie mam Pana szukać? Mój adres łatwy do odnalezienia przez "Polskę Walczącą." Proszę o odwiedziny. Na razie pozostaje nam druk. List jest tak charakterystyczny dla pewnych nastrojów, że warto mu poświęcić chwilę uwagi.

Sam Pan się przyznaje, że pisze zdenerwowany, nawet bardzo zdenerwowany, tak jak zdenerwowany jest cały szwadron. Szwadronowi nie wolno się denerwować takimi sprawami, bo co będzie z nerwami w czasie pierwszej bitwy tu, czy Tam? Pan Kolega również niepotrzebnie dał folgę nerwom, bo jak wyniknie z dalszych moich wyjaśnień, popartych wyjątkami z artykułu o kobiecie na emigracji—jest Pan ofiarą własnej niedokładności, typowego dla nas "niedoczytania do końca," stałego pomijania ważnych szczegółów, pochopnego opiniowania na podstawie przedwcześnie wyciągniętych wniosków. To się nazywa po prostu "polska gorączka." Dobra jest ona czasem w innych okazjach, ale w sprawach wymagających trzeźwej oceny staje się naszą plagą szczególnie na obcym terenie. Ona jest właśnie rodzoną matką "polemikomanii."

Z tej typowej "polskiej gorączki" wynika, stałe nieomal uogólnianie każdego zarzutu. Pan Kolega wie n.p. napewno, że wszyscy generałowie mają tu żony i dzieci, a ja . . . w rozmowie prywatnej potrafię Panu podać szereg nazwisk osób w stopniu generalskim, którzy albo zostawili rodziny w Kraju, przypadkowo spotkali swe rodziny w Rumunii, lub do dnia dzisiejszego szukają żon i dzieci na terenie Rosji.

Czy jest Pan pewny, panie Kolego, że fakt posiadania rodziny na tym terenie, świadczy o zaniedbaniu przez każdego wyższego oficera jego obowiązków wobec Ojczyzny? Czy jest Pan pewny i czy ma Pan dowody? Ja nie. Nie zapominajmy obydwaj, że w pamiętnych dniach wrześniowych wyszedł rozkaz (!) M. S. Wojsk. zarządzający n.p. w Warszawie przymusową ewakuację rodzin oficerów zawodowych. Rozkaz ten zaciążył w straszliwy sposób na stosunku szeregowego do oficera na emigracji. Wiemy dobrze, że rodziny te pchane bezmyślnie, nie wiadomo poco przez bombardowany Kraj, znalazły się na krańcach Polski, a po tym zostały przez te same władze skierowane za granicę, nie uzyskując zresztą w większości wypadków łączności z mężami, ojcami, braćmi. Znam wiele żon, sióstr, córek, które mają wielki żal właśnie z tego powodu, że je wywieziono z domu, z Warszawy, skazano na tułactwo, narażając w dodatku na zarzuty szerokich rzesz żołnierskich.

Nie przeczę, że miały miejsce wypadki nadużyć, pamiętamy osławione limuzyny, pieski i.t.d. Wiele osób z tych rodzin wojskowych, ewakuowanych przymusowo, poszukuje do tej chwili swoich najbliższych. Nie zapominajmy, że setki oficerów zawodowych znajdują się w niewoli niemieckiej, tysiące w Rosji. Zanim napewno ustalimy w rozmowie osobistej, Kolego, że "przypochlebiam się garstce oficerów zowodowych," którzy wieźli na wojnę rodziny zamiast bić się—musimy dla czystości sumienia, przypomnieć sobie o tych rzeszach, zamkniętych w Oflagach, o tych, do tej chwili, znajdujących się na wyspie Nowa Ziemia w Z.S.R.R., wreszcie i o tych, Panie Kolego, którzy w Polsce w 1939, we Francji i Norwegii, bili się odważnie i ginęli bohatersko razem z żołnierzami lub razem z żołnierzami przekraczali granice szukając sposobności do nowej walki o Polskę.

Kolego K. Pan był w niewoli, Pan był w Polsce pod okupacją. Czy to możliwe, żeby Pan wierzył w to, co Pan napisał w chwili zdenerwowania? Gorączka Pana poniosła. Rozumiem żal żołnierskich serc, pozbawionych rodzin, zgadzam się z tym, że bardzo wielu ludzi na stanowiskach odpowiedzialnych załamało się podczas tej wojny, że istotnie wielu myślało najpierw o sobie, o rodzinie, a dopiero po tym o Polsce, ale w imię spokoju sumienia, nie wolno nam uogólniać tej obserwacji. Przecież nasz interes narodowy i społeczny leży chyba w tym, żeby—w pełni zdając sobie sprawę z własnych słabości—nie odsądzać siebie nawzajem od wszelkich wartości moralnych, fachowych lub wreszcie najprymitywniejszych zalet ogólnoludzkich.

A teraz inna sprawa. Czy ja się napewno "przypochlebiam garstce oficerów zawodowych?" Z czego Pan to wywnioskował? Czy z moich dotychczasowych "Bez blackoutów"? Niech Pan na to pytanie odpowie sobie sam lub przy pomocy całego szwadronu. Jeżeli chcemy udowodnić, że dojrzeliśmy do poważnej oceny, do rzeczowych osądów, to musimy się zdobyć na najwyższą bezstronność i pozbyć się ogólników. Wtedy dopiero będzie miała wartość nasza opinia o ludziach, którzy w ten czy inny sposób zaniedbali swoje obowiązki. Więc tędy droga, Kolego K.

Bardzo się ucieszyłem wiadomością, że schowaliście mój artykuł do archiwum i chcecie mi go w Polsce przypomnieć. Wasze matki, żony i siostry, powiedzą mi napewno, że dobrze robiłem, próbując "w ogromie nienawiści" ratować godność Polki na emigracji, wskazując Wam te w szpitalach, kantynach, biurach i fabrykach, które pracują uczciwie i ciężko, piętnując zaś paniusie pozbawione uczciwości i sumienia. W tym miejscu muszę Panu przypomnieć jeden ustęp z tego artykułu, który tak zdenerwował Pana i cały szwadron:

"Szanować, pomagać, oddawać należną cześć Polce pracującej, Polce pożytecznej, nie lekceważyć jej wysiłków, nie zrażać do pracy. Natomiast nie tolerować pod żadnym warunkiem, ale tępić i piętnować lenistwo szkodliwe paniusi Nicnieróbskiej jako pasożytującej na tym terenie z uszczerbkiem dla naszej sprawy."

Schowajcie to koniecznie, nie wstydzę się tego. Pisze Pan Kolega, że ja "bezczelnie zapominam o naszych matkach, żonach i siostrach w Kraju." Bardzo to ciężki zarzut, bardzo brutalnie postawiony. Nie zdziwiło mnie nawet to słówko "bezczelnie." Musiało się ono znaleźć staropolskim obyczajem w liście, na którym brak adresu wysyłającego. Doceniając jednak Pańskie nerwy, nadszarpnięte niewolą i przejściami, rozmawiam dalej, choć to nie po żołniersku, Kolego K., nie po żołniersku, tak strzelać zza płotu do znajomego, którego się podobno . . . lubi. Czy ja opierając się na tym smutnym doświadczeniu, a idąc w Pana ślady, miał bym wyrobić w sobie przekonanie, że każdy żołnierz tak postępuje? Chyba nie. Napewno nie.

Jak Pan sobie przypomina zacząłem artykuł o kobiecie polskiej słowami:

"Otóż i moja pieśń, poświęcona kobiecie polskiej na e m i g r a c j i. Zacznę tę pieśń tam, gdzie urywa się pamięć postaci naszej ukochanej kobiety, pozostawionej w Kraju, gdzie gubi się w wichurze dziejowej ciepło ostatniego uścisku rąk bardzo drogich, jedynych. Zacznę na granicy we wrześniową noc."

Nic więcej Panu nie powiem na ten temat. A teraz rozmawiajmy dalej. Ładnie Pan Kolega to napisał, że "teraz nie czas na porachunki," ale myli się Pan sądząc, że będziemy się rachować w Kraju. Ani Pan, ani szwadron, ani ja nie będziemy niczego "referować." Sytuacja będzie bardziej prosta, niż się Panu zdaje. Tych 30 milionów cierpiących ludzi w Kraju powie nam po prostu, serdecznie, ale stanowczo: "Porachujcie się, bracia, przed szlabanem granicznym, a dopiero po tym wpuścimy was na polską ziemię." Więc, według mego zdania, jeżeli ktoś ma porachunki—to już teraz, zaraz, tutaj można rachować się między sobą, licząc się oczywiście z opinią tutejszych gospodarzy, którzy muszą być mimowolnymi świadkami tych "rozliczeń."

W Polsce napewno się nie porachujemy, choć dzisiaj tutaj każda kłótnia Polaków o byle głupstwo kończy się stale słowami: "Policzymy się w Kraju . . ." Nie, Kolego K., nie, w Polsce będą robione inne rachunki, będziemy mianowicie liczyć szkody, spisywać pomoc dla zniszczonych okupacją ludzi, będziemy zwozić cegły i tłuc kamienie na odbudowę Kraju. Porachunki o "skórkę z łupki," o słówko pisane, czy mówione, szczezną na polu ostatniej bitwy, albo w tej wielkiej chwili, gdy w pokorze będziemy wszyscy całować pierwszą grudkę polskiej ziemi. Tylko ci z obciążonym sumieniem niżej będą musieli pochylić głowy.

Nie znaczy to, że opowiadam się za bezkarnością dla tych ludzi, których wina w sprawie narodowej była, jest, czy będzie oczywista. Ale to do nas nie należy—przyznacie Kolego K., to nie jest rzecz wojska. Będą wyłonione, na prawie oparte, sądy Rzeczypospolitej, które będą "referować" i wyrokować.

Piszecie Kolego K. "Jeszcze Pan nie wie, czy Polki, które tu są wrócą do Polski /z wyjątkami/ . . ." Więc nawet w takim zdenerwowaniu przewidział Pan wyjątki. To dobrze. Życzę Panu zdrowia /odpukuję trzy razy/ . . . ale gdyby coś, nie daj Boże, się trafiło np. zwichnięcie nogi lub palca i znalazłby się Pan w szpitalu? Pielęgnowała by Pana siostra Czerwonego Krzyża Polka—może córka generała?—zapracowana po łokcie, szorującą sale chorych, sprawującą co 48 godzin nocną służbę. Przypuśćmy, że była by dobra dla Pana i wyrozumiała, otaczała by Pana opieką. Czy dałby jej Pan na pożegnanie w szpitalu przepustkę do Polski? Chyba tak. Więc słusznie przewidział Pan wyjątki.

Czytam Wasz list, Kolego, i wyjaśniam kolejno: "Pan pisze, że musimy tu dbać o "panie," które wychowane tu w twardej szkole życia, przydadzą się w Polsce." Napisałem w artykule dosłownie tak:

"Nie wolno nam potępiać w czambuł wszystkich Polek, bo obrażamy tym nasze matki, żony i siostry. Starajmy się na emigracji właśnie wychować w twardej szkole życiowej typ kobiety, którą napewno przyda się bardzo w Kraju w pierwszych latach trudnej, surowej wolności."

Więc znowu, Kolego K. niedokładność w zarzucie, znowu niedopatrzenie. Nie "bezczelne," ale bardzo typowe dla obecnego naszego okresu "gorączki polskiej." Przez "twardą szkołę życiową" rozumiałem nie warunki, w jakich Polka obecnie tutaj żyje, ale jakie stworzyć się jej powinno przez organizację jej pracy n.p. w pomocniczej służbie kobiet. Zresztą, mój Boże, Pan to najlepiej pewnie wie, że "twardą szkołą życiową" może być brak własnego domu, czasem brak wiadomości o rodzinie . . . Czy pisząc o tym umniejszamy w jakikolwiek sposób bohaterską postawę kobiety polskiej w Kraju? Przecież to inny temat. Czy na to nikt w szwadronie nie zwrócił Panu uwagi? Czy nie warto zastanowić się dokładnie i przeczytać nim chwyci się za pióro?

Za wyznanie sympatii, zawarte w pierwszym zdaniu listu, serdecznie dziękuję. Przykro mi, że artykuł się nie podobał. Nie piszę w tym celu, żeby się podobało. Nie czas na to. Dzisiejszy felieton, pewnie jeszcze mniej się będzie Panu podobał, ale mimo to nie tracę sympatii ani dla Pana, ani dla całego szwadronu, który powinien, po dokładnym przeczytaniu tego artykułu dojść do wniosku, że zarówno jego zdenerwowanie i Pana było niepotrzebne. że źle się stało, iż list Pana, Kolego K., był nie tylko dokładnie niepodpisany, ale i . . . nieprzemyślany.

Chcę z Panem polemiki. W Polsce z Panem rozmawiać na ten temat nie będę. Przypuszczam, że obydwaj będziemy zajęci ważniejszymi sprawami.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Dowódca Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie mianowany generałem dywizji



Generał Zając

W uznaniu zasług Pana Generała tak na terenie I Korpusu w Szkocji, jak i następnie jako Dcy W.P. na Środkowym Wschodzie, na którym to stanowisku wykazał Pan Generał b. dużą energię i poświęcenie się sprawom wojska, równocześnie jako najstarszego generała brygady w służbie czynnej—mianuję Pana Generałem Dywizji z dniem 3 mają 1942 r.

Jestem głęboko przekonany, że II Korpus, którego dowództwo powierzyłem Panu Generałowi, rozwinie i pogłębi piękne tradycje bojowe Wojska Polskiego na Śr. Wschodzie.

Życzę Panu Generałowi szczęścia żołnierskiego,

/—/ Sikorski

/Zdjęcie przedstawia gen. Zająca /x/ na inspekcji w Karpackim Pułku Ułanów./

Naczelny Wódz w I. Korpusie Pancerno—Motorowym

W ciągu ubiegłych kilku dni Naczelny Wódz odwiedził szereg oddziałów I Korpusu Pancerno-Motorowego w Szkocji. Pomiędzy innymi były inspekcjonowane ośrodki wyszkolenia technicznego 1 Dywizji Pancernej, 1 Brygady Strzelców, Dywizjon Lotnictwa Współpracy oraz szpitale wojskowe Nr. 1 i Nr. 2. W czasie swego pobytu w Szkocji gen. Sikorski przyglądał się ćwiczeniom oddziałów polskich, na których był również obecny głównodowodzący siłami brytyjskimi na terenie Zjednoczonego Królestwa gen. Sir Bernard Paget. Przy tej okazji odbyła się po ćwiczeniach w kwaterze polowej Naczelnego Wodza wspólna konferencja w czasie której omawiano szczegółowo dalszą organizację Wojska Polskiego na terenie Szkocji.

Rozmowy w czasie tej konferencji wykazały jak wielki postęp został dokonany w organizacji i wyszkoleniu oddziałów oraz przekonanie władz angielskich, że w najbliższym czasie oddziały I Korpusu stanowić będą grupę wojsk o dużej i nowoczesnej sile ofensywnej. Gen. Sir Bernard Paget, jak sam to stwierdził, odniósł jak najlepsze wrażenie o pracach organizacyjnych i wyszkoleniowych żołnierzy I Korpusu.

W czasie swego pobytu w szpitalach wojskowych Nr. 1 i Nr. 2. Naczelny Wódz przeprowadził cały szereg rozmów z chorymi żołnierzami, żywo interesując się ich życiem oraz dopytując się poszczególnych pacjentów o przebieg choroby. Na zakończenie swej wizytacji w szpitalu wojskowym Nr. 2 Naczelny Wódz wpisał się do księgi pamiątkowej Komitetu Szpitala "Sefa" tymi słowy: "Z wyrazami uznania w imieniu służby narodowej za wzorowo urządzony i doskonale prowadzony Szpital Polowy Nr. 2."

W szpitalu wojskowym Nr. 1. Naczelny Wódz podkreślił specjalnie ofiarną pracę całego personelu, a zwłaszcza sióstr Czerwonego Krzyża i pielęgniarek.

W dniu 28-go maja, zupełnie niespodziewanie, Naczelny Wódz zaszczycił swą obecnością koleżeńskie zebranie oficerów odchodzących na inne stanowiska. W czasie tego zebrania odczytano rozkaz Naczelnego Wodza skierowany do tych żołnierzy. /Tekst rozkazu podajemy osobno./

Po odczytaniu rozkazu, gen. Sikorski zwrócił się w serdecznych słowach do gen. Paszkiewicza, zaznaczając, że Wojsko Polskie odradza się wszędzie tam, gdzie tylko są Polacy i że potrzebuje ono oficerów dzielnych i doświadczonych. Nowe oddziały powstają jak legendarny feniks z popiołów i żołnierze tych oddziałów pod dowództwem gen. Paszkiewicza spełnią zlecone im zadania. W zakończeniu swego przemówienia Naczelny Wódz zaznaczył, że dzięki siłom zbrojnym, które powiększają się z dnia na dzień, pozycja Polski utrwala się co raz silniej.

Przemówienie swe Naczelny Wódz zakończył toastem na cześć Najjaśniejszej Rzeczpospolitej Polskiej i Jej Prezydenta.

Z życia obozów

Codzienna twarz Nieznanego Żołnierza*

Gdy pewnego ranka weszłam na salę chirurgiczną, na pierwszym z brzegu łóżka zobaczyłam twarz . . . króla Jana III. Nie znałam osobiście Jana Sobieskiego, ale jeśli portrety nie kłamią, tak właśnie musiał wyglądać.

—To "nowy," Siostrzyczko-Świetliczko—zawołał ze swego "łoża" Mojski i zapomniał zahuczeć swoje "aaaa" . . ., które stanowi nasze codzienne powitanie.

—"Z obozu niemieckiego"—zawołał podchorąży P.

"Nowy" pokazał w uśmiechu piękne, zdrowe zęby.

—"Czy to prawda?"—zapytałam. Potwierdził.

Wieczorem, po modlitwie, cała gromadka otoczyła jego łóżko.

—"Jak pan uciekł z Niemiec aż tutaj?"

—"Uciekł? Sami odwieźli mnie do Francji, z paradą! Generał francuski witał mnie na dworcu. Wypytywał i powiedział: czemu to żaden Francuz nie wpadł na ten pomysł, tylko Polak. A szwaby z eskorty aż usta pootwierali ze zdziwienia."

Pomysł był naprawdę świetny, wykonanie—artystyczne. Nie podajęmy go ze zrozumiałych względów.

—"Zagarnęli nas niespodziewanie pod Bedford"—opowiadał "Sobieski"—"i umieścili w obozie. Byli tam pomieszani: Polacy, Francuzi, Hiszpanie i Żydzi. Oczywiście nikt nie pomyślał, by wyżywić tak wielką ilość ludzi.

Po paru dniach załadowano nas do wagonów towarowych i stłoczonych do ostateczności zamknięto z zewnątrz. Siedzieliśmy dosłownie jeden na drugim, o położeniu się nie było mowy. Duszno, brak wody i jedzenia, zaduch, małe, zakratowane okienko nie wpuszczało wiele powietrza. Gdy po 4 dniach podróży otworzono drzwi, trudno się było utrzymać na nogach.

Do obozu było parę kilometrów. Jakaś kobieta niosła koszyk jabłek, chciała nam sprzedać, ale eskortujący żołnierze nie pozwolili: "Nie wolno! Nie jedli kilka dni, pozdychają jak psy!"

Baraki—były to stajnie, bez podłogi. Pod jedną ścianą były żłoby. Barak przeznaczony n.p. na 300 osób, zamieszkiwało 700 ludzi.

Życie: rano—gorzka kawa i bochenek chleba na pięciu, w południe i wieczorem—woda, w której rozgotowano kartofle razem z łupinami. Piasek trzeszczał w zębach. W soboty i niedziele kolacji nie było. Kucharze mieli wolne. Nocami przeprowadzano rewizje. Ginęły wówczas zegarki, żyletki, pierścionki, ołówki, scyzoryki, wszystko co znaleźli. /Buty i pasy odebrali nam natychmiast po przybyciu./ Żeby opisać znęcanie się, zabójstwa, bicie—trzeba by długo mówić.

Święta Bożego Narodzenia minęły jak zły sen. W Wigilię—rewizja. Wpadł oberfeldwebel, znalazł pióro wieczne w szparze ściany. Trzeba było milczeć, gdy potrząsał pięściami przed twarzą i wrzeszczał: "*Polnisches Schwein, Polnischer Hund.*" Cały wieczór nikt nie przemówił ani słowa. Jeden drugiego omijał i bał się odezwać, przeżywaliśmy męki. Z Krakowa, z P.C.K. otrzymaliśmy worek sucharów z polskiego chleba. Jedliśmy je—jak opłatki, ze łzami . . .

Gdy wyjeżdżałem—wszyscy mi pomagali. Serce mi się krajało, że ich tam zostawiam . . . Człowiek w nieszczęściu często twardo się odezwie, ale przywiązuje się do towarzyszów niedoli—jak do braci. Wielu ich zresztą brakowało . . . Wielu pomarło, innych wyprowadzono—i nie wrócili już więcej . . .

We Francji—chcieli mnie zatrzymać, ale "kiwnąć" Francuzów, to niewielka sztuka. Wymigałem się, no i jestem"—zakończył lekko, a gdy milczeliśmy wszyscy, dodał poważnie: "Musiałem przyjechać! Nie skończyłem jeszcze służby wojskowej" . . .

* * *

Na jednej z sal szpitalnych, z poza wysokiego rusztowania, chroniącego złamaną nogę, wychyla się jasna, kręcona czupryna i oczy miło uśmiechnięte. To Stefek U., bohater przygód z 1001 nocy. Życie tego 23-letniego chłopca, to film barwny, ciekawy i pełen zawrotnego tempa.

Przed pięciu laty, uczeń gimnazjum kościańskiego zapragnął przeżyć "przygodę," prawdziwą, londonowską przygodę. Ucieka z domu. Przez "zieloną granicę" wędruje do Niemiec, przeciska się jak Indianin przez gąszcz przepisów, agentów i policjantów niemieckich, dociera do Belgii i następnie do Francji. Tu osiąga upragniony cel: zapisuje się do Legii Cudzoziemskiej. Teraz film nabiera kolorytu egzotycznego.

Afryka, patrole w pustyni, walki z Arabami, praca przy budowie dróg, wyprawy dalekie i męczące, gdy zdawało się, że nie istnieje nic prócz słońca i piasku, a chłód pod drzewem i woda wydawały się równie dalekie jak gwiazdy.

Spełnione marzenia bywają czasem bardziej kłopotliwe, niż niespełnione . . .

Nadchodzi rok 1939. Wojna. Oddział, w którym służy Stefek, zostaje wysłany do Francji, na Linię Maginot. Lecz i tu, niespokojny duch, nie wysiedział długo.

—"Było za ciasno, za bezpiecznie; nic się nie działo . . . chciałem się bić."

Zgłasza się więc na ochotnika i wyjeżdża do Norwegii. W bitwie pod Ankenes otrzymuje postrzał i zostaje przetransportowany do Anglii.

I tu—kończy się chłopięca, wymarzona "przygoda." Stefek styka się blisko z wojskiem polskim. Poznaje chłopców w swoim wieku i po raz pierwszy uświadamia sobie, że obok "przygody" jest coś nierównie większego, ważniejszego, coś—co wypełnia po brzegi dusze tych ludzi i jest dla nich droższe niż życie. Zadziwia go to, porywa i nie wie, że w sercu jego obudziła się miłość do tej zapomnianej, dalekiej, lekkomyślnie porzuconej ziemi.

I nagle—zrozumiał. Musi wydostać się z obcych szeregów. Musi służyć w polskim wojsku! Stefek bierze urlop, jedzie do Londynu. Piętrzą się trudności. Trzeba uzyskać obywatelstwo polskie, załatwić wiele formalności. Urlop się kończy, pieniędzy brak. Ale Stefek zapragnął służyć w polskim wojsku. Nie! Postanowił.

I oto czapka z orzełkiem leży na półce szpitalnej, a z dziecinnej przygody pozostała legitymacja Legii Cudzoziemskiej z fotografią w egzotycznym mundurze, *medaille combatant, med. blessé, croix de guerre* i krzyż za uratowanie rannego kolegi.

* * *

Pewnego dnia sanitariusz Wawrzyniec przyniósł mi pocztę do pokoju, po której to uprzejmości wymiarkowałam zaraz, że ma ochotę na pogawędkę.

—"Co u pana słychać, panie Wawrzynie?"—zapytałam.

—"A nic. Martwię się tylko o żonę i dzieci, bo tam, podobno, w naszych stronach bardzo Niemcy naród uciskają."

—"A gdzie pan zostawił żonę? We Francji?"

—"Nie, w Polsce, w Kaliskim."

—"Jak to się stało? Przecież Pan stale mieszkał we Francji."

—"A tak. Przez ostatnie 10 lat. Pracowałem i—nie mogę narzekać, dobrze mi się powodziło. Zarabiałem, oszczędzałem i co roku prawie dokupywałem po kawałku ziemi w Polsce. Już mam teraz 15 morgów"—uśmiechnął się zadowolony.

—"A co? Może miałem Francuzom z powrotem te pieniądze oddawać? Wolałem przywieźć do Polski tę trochę grosza i mieć coś swojego dla dzieci. Na rok przed wojną zabrałem żonę i chłopaków do Polski. Rozebrałem starą chałupę, co miała może ze 100 lat i wybudowałem nową, założyłem ogród, ogrodziłem . . . Wróciłem do Francji, żeby jeszcze trochę grosza zarobić. Ale cóż—przyszła wojna i wszystko na nic."

Machnął ręką zniechęcony.

—"Wojna przyszła i pójdzie, a ziemia zostanie"—powiedziałam.

—"Tak, ziemia zostanie!—rozjaśnił się—Choćby mi bomba dziurę w chałupie wybiła, to załatam i będę gospodarzył. Ziemia zostanie" . . .—powtórzył jakoś twardo—"Tylko . . . proszę pani . . ." —zasępił się, zakłopotał.—"Mówią, że jak wrócimy do Polski, to nie będzie wolno Niemców tknąć. To chyba nieprawda? Jeśli by tak miało być, to lepiej nie wracać! Po tamtej wojnie też tak było! Jeśli by tak miało być . . ."—Gorączkował się co raz bardziej.

Patrzyłam zdumiona jak jego dobroduszna, czerwona, zawsze uśmiechnięta twarz nabiera wyrazu zaciętości i mściwego gniewu. Oto zmartwienie Wawrzyńca. Chce własnoręcznie "prać" szwabów, chce własnoręcznie wypędzać ich ze swojej, ciężko zapracowanej ziemi. Chce tego tak mocno, że jego pięści zaciskają się i otwierają naprzemian.

Spojrzałam na te jego wielkie, pracowite dłonie i pomyślałam, że równo krzepko chwycą pług, jak karabin.

* * *

Jureczek W. zapalił papierosa i owinął się w szary szlafrok szpitalny.

—"Nas było 6-ciu i nie mieliśmy więcej nabojów . . ."—zaczął.—"A ich było chyba ze dwudziestu i mieli maszynkę, nastawioną na te marne kilkadziesiąt metrów, dzielące nas od zbawczego lasu i . . . granicy. Oni siedzieli na małym wzniesieniu, a my przed i niejako pod nimi, w małym, gęsto podszytym zagajniku.

Kawał polegał na tym, że oni nie wiedzieli, ilu nas jest i konspirowali swoją obecność. Trzeba było się śpieszyć, zanim ich nadejdzie więcej. Narada trwała krótko.

Byliśmy nieludzko zmęczeni, od paru dni nikt z nas nie spał i nie jadł. Poza tym byliśmy przemoczeni do nitki po przedwczorajszej przeprawie przez rzekę. Byliśmy u kresu sił. Należało natychmiast, resztką energii zrobić ten ostatni etap. Każdy z nas czuł, że jeśli położy się—zaśnie natychmiast i—niech się dzieje co chce . . .

Było mi strasznie zimno. Szczękałem zębami i drżałem. Bałem się, że rozpłaczę się jak dziecko i skompromituję na wieki. Poszedłem więc pierwszy.

Wyszedłem na odsłonięte pole. Idę, rozglądam się, skradam, zatrzymuję, znowu idę, w końcu staję i zaczynam kiwać ręką, żeby szli za mną. Staram się iść jak najwolniej. Czuję na plecach oczy kolegów, tamtych i—lufę C.K.M.'u. Jest to . . . przykre uczucie.

Zacinam zęby i powtarzam sobie: wolniej, wolniej, bo zgubisz wszystkich . . . W tyle czaszki najwyraźniej czuję chłód, jak gdyby lufa dotykała jej z bliska. Nerwy mam napięte do możliwych granic.

Nie! Nie zniosę tego dłużej! Niech będzie! Niech się stanie! Odwracam się twarzą. Ale—nic się nie dzieje. Widzę tylko, że następny kolega jest już w drodze. Naśladuje mnie. Idzie, kiwając ręką na pozostałych. Plan nasz jest prosty. Polega na tym, by na polu nie było więcej niż dwóch z pośród nas. "Oni" czekają na większą gromadę.

Chwila jeszcze i—leżę za najbliższym drzewem, obserwując kolegów. Pierwszy jest już blisko, drugi—w połowie drogi, trzeci—wychodzi z kryjówki.

Cisza i napięcie z obu stron tak wielkie, że kiedy ostatni potknął się o kamień i upadł z brzękiem karabinu, wszyscy dosłownie podskoczyliśmy w górę. Tymczasem tamten—zrywa się i zaczyna biec. Był to szczeniak z gimnazjum, nie wytrzymał "próby nerwów." Nie wytrzymali również i "oni."

Kule zaszumiały po krzakach, ale —już było za późno. Biegliśmy przez las, jak gdyby nam skrzydła u ramion wyrosły. Zmęczenie gdzieś się zapodziało, napięcie minęło. Niosła nas radość, szalona, cudowna radość.

Byliśmy znowu wolni i droga do wojska polskiego była przed nami otwarta!" . . .

JANINA WOYCIECHOWSKA

* Por. nr. 5 "Polski Walczącej" z b.r.

Ludzie siedmiu mórz

Dziwnie się przypomniała sytuacja z roku 1937, z Gdyni. Zawodowy fotoamator ustawił nas—całą rozbawioną czeredę—wzdłuż nabrzeża i na tle pięknej sylwetki nowoczesnego motorowca zrobił kilka zdjęć fotograficznych. Jak dziś pamiętam: na przesłanych mi później odbitkach fotografii, gdzie stoję dziwnie pokracznie rozkraczony i głupio uśmiechnięty, w tle sylwetka potężnego pasażera. Na pięknie odmalowanym kadłubie, na dziobie, białymi literami napis: nazwa statku.

Dziś ten sam statek, dumnie spoglądający z wyżyn swoich pokładów ku falom niepolskiej zatoki —tylko już inny. Powinność wojenna kazała mu zmienić strój. Przebrał się z galowego, czarnobiałego fraka luksusowego transatlantyku w skromny żołnierski *battle-dress* barw ochronnych. Pokłady, miejsca spacerów eleganckich pasażerów, wyczekują dziś innych gości, niż za przedwojennych, pokojowych rejsów.

* * *

Motorówka dobija do burty statku. Po stromych schodkach włazu przedostajemy się na dolny pokład. Wędrujemy dalej.

—"Kapitan?"

—"Kapitan z pewnością na mostku, w swojej kabinie."

Idziemy dalej. Wiatr rozwiewa włosy niosąc ku nam zapach wiosny, morza i nieskończoności wodnych przestrzeni. Dziwne popołudnie—dziwnie się tu człowiek czuje. Oparłem się o balustradę pomostu. Opodal przepływa mała motorówka, o rufie śmiesznie tępo ściętej. Rozpiera dumnie podniesionym dziobem stroszące się fale zatoki. Na rufie bandera polskiej Marynarki Wojennej.

—"To z naszego kontrtorpedowca"—podpowiada moim domysłom któryś z marynarzy—"Ot, tam stoi"—

Dziwne uczucie . . . Znowu wspomnienia z Gdyni. Nasze piękne motorowce, defilada smukłych sylwetek okrętów wojennych . . . Kiedy to było? Czy w dzień "Święta Morza," czy w zwykły powszedni dzień pracy dla ludzi morza, który tylko dla mnie był dniem wielkiego święta, bo mogłem patrzeć w rozsłonecznioną przestrzeń Bałtyku, w białe sylwety nowoczesnych, wielopiętrowych budynków Gdyni, na świat wyczarowany tym co najlepsze, najwartościowsze i najpiękniejsze w Polsce: w dzieło twórczego natchnienia i wysiłku Polaka.

* * *

—"We Francji siedziałem bezczynnie długo, bardzo długo. Czekałem na statek. Linia okrętowa obiecywała—płacili pensję. Czekałem . . . Był to mój najczarniejszy okres. Mieszkałem w Paryżu w hotelu. Wszyscy koledzy, przyjaciele na morzu; wojna—a ja sobie w hotelu . . . Rozumie mnie pan? Dzień po dniu bezrobocia. Chłopak w windzie w hotelu mówi niezmienie "*good morning, sir*" kiedy wychodziłem rano /wiedzieli, że mówię lepiej po angielsku niż po francusku/, a kiedy wracałem niezmiennie "*good night, sir.*" Otyła dama w klitce portierskiej zawsze jednakowo słodko uśmiechała się do mnie, gdy wychodziłem lub wracałem. Do nikogo słowa przemówić. Cholera. Tej całej służbie porozbijałbym z chęcią fizjonomie za te uśmiechy i good-night'y. Bezczynność w warunkach dobrobytu—najgorsze chyba co może istnieć.

Nie doczekałem się statku we Francji. Ewakuacja do Wielkiej Brytanii. Do diabła. Tu znów czekanie. Znudziło mi się i poszedłem na ochotnika do wojska. Wie pan, Linia na ćwiczenia w Polsce nie puszczała; zbyt dużo było pracy na statkach—szarżę więc miałem niezbyt wysoką: kapral podchorąży. Byłem w armii w Szkocji jedenaście miesięcy.

W końcu jednak Linia znalazła dla mnie wakans na statku i wezwała mnie do pracy na morzu. Radość moja była wielka. Ale mój dowódca, pułkownik mówi przy raporcie: "Nie pójdziecie, obejdzie tam się bez was." Ja mu tłumacze. że będę pożyteczniejszy na morzu. Jestem przecież specjalistą, kapitanem żeglugi wielkiej—a tu tylko kapral. A on, taki już fanatyk piechociński ciągle swoje: "Nie pójdziecie. A co do pożytku nie ma rzeczy bardziej pożytecznej niż służba w piechocie." I gadaj tu z takim. Ale w końcu poszedłem . . ."

* * *

—"Jak idziemy w konwoju, to cholera go wie. Siedzimy na dole, w maszynowni i nic a nic nie wiemy. Tyle co nam przyniosą rozkazy z pokładu. Czasem ni z tego ni z owego gwałtowne wstrząsy—a zawsze, prawie równocześnie zmiany kursu. I nikt z nas nie może się zorientować czy to naprawdę, czy tylko dla ćwiczeń. Bo czasem konwój idzie spokojnie, żadnych okrętów podwodnych o setki mil—a tu zabawa: ćwiczenia obrony przeciw podwodnikom. I to tak na serio, że nikt prócz najwyższego dowództwa nie wie czy to zabawa, czy naprawdę niebezpieczeństwo. "Depscardże" lecą z okrętów konwoju—wstrząs za wstrząsem. Czasem dla "pucu"—często jednak naprawdę.

Wie pan, to się tak wydaje; mówimy: "kto ma wisieć nie utonie—kto ma utonąć pójdzie na dno." Ale nam jednak nie zawsze wszystko jedno. Kiedy się wiezie cenny ładunek ludzi, sprzętu, materiału wojennego, każdy z załogi drży o ten ładunek bardziej niż o własną skórę, każdy z nas robi co może i jak może najlepiej i najsprawniej. Taki to już nasz honor marynarzy floty handlowej. Raz na przykład praca trwała bez odpoczynku pięćdziesiąt sześć godzin. Potem co prawda miałem wypoczynek: całą godzinę. "Idź się przespać"—drwił kolega. Poszedłem pod zimny prysznic, a później znów na czterogodzinną wachtę.

I co ciekawsze, mimo zmęczenia ludzi nic nie nawala—bo nic nawalić nie może, bo od tego jak pracujemy zależy nie tylko nasze własne życie ale i tylu ludzi, których transportujemy w najodleglejsze zakątki świata—los nie tylko statku, ale i cennego ładunku. A te setki ludzi transportów później powtarzają: "Zadowolony byłem z podróży na polskim statku" albo: "Och, słyszałem. Ten wasz statek to *lucky boat.* Nic nam się nie mogło stać kiedyśmy nim właśnie płynęli."

* * *

Niby wojna, a czasem wydaje sie nam, że to wcale nie wojna. Mieliśmy jeden taki wojenny a niewojenny rejs. Wieźliśmy wówczas z Wielkiej Brytanii transport ewakuowanych dzieci. Długi był to rejs. Załoga pokochała się z dzieciskami na zabój. Cóż dziwnego? W naszym życiu samotnym na morzu po pijatykach podczas krótkich postojów w portach, kiedy człowiek już wyzuwa z siebie resztki tego co było w nim ludzkie —taki słodki transport na pokładzie i to przez tyle dni. A dzieci —przeszło pięć setek: wesołe, naiwne, ciekawe wszystkiego, ufne w naszą opiekę i tak przypominające nasze maleństwa w Polsce. Kiedyśmy się rozstawali popłakały się dzieciska a i nam . . . Et, co tu gadać . . .

Różnych wozimy pasażerów. Byli i "oni"—Niemcy. Jeńcy z niemieckich "ubotów." Dziwili się. i nie mogli się nadziwić, że płyną pod polską banderą. Ale dopiero kiedyśmy przyszli do portu w Wielkiej Brytanii gały z podziwu powytrzeszczali, jak zobaczyli kilka jeszcze oprócz nas statków pod polską banderą i polski kontrtorpedowiec, który przedefilował tuż koło nas. A mówili cholery, że Polski już nie ma i nie będzie. "A na czym stoisz draniu, jak nie na polskim terytorium"—pytaliśmy się. A oni zwieszali tylko głowy i milczeli. Bo i cóż mogli odpowiedzieć?

* * *

Następnego dnia duża motorówka odwiozła nas do portu. Przepustki sprawdzano przy wyjściu bardzo szczegółowo.

BOLESŁAW K. PIEKARSKI

"Listy z Ameryki . . ."

Najprzyjemniejszą chwilą w wojsku jest otrzymanie listu. Obecnie, wobec kompletnego braku łączności z Krajem, co raz rzadziej przychodzą listy, a wiadomości o losach najdroższych, od kolegów lub znajomych co raz skąpsze.

Korzystając z obszernej korespondencji z moimi Rodakami w USA podaję kilkanaście adresów osób, którzy pragną korespondować z polskim żołnierzem, lotnikiem i marynarzem. Równocześnie poza samą chęcią pisania listów, nadesłania paczki, papierosów czy książek i wydawnictw amerykańskich—poszukują swoich krewnych i znajomych.

Podane niżej wyjątki z listów pochodzą od ludzi inteligentnych oraz prostych, Polaków przybyłych jeszcze z Polski przed wojną, jak również urodzonych już w USA. Są oni na warunki amerykańskie bardzo inteligentni, zaś na polskie może mniej, gdyż ich rodzice byli prości. Jedno jednak cechuje te listy—gorące serce, szczera chęć ulżenia bliźniemu i olbrzymia życzliwość.

Powierzając więc te adresy i wyjątki z listów Polakom w Wielkiej Brytanii, proszę powołując się w swoich listach i odpowiedziach na moje nazwisko — okazać również serce.

Miss Gertrude MARIJNIAK, 62 Alexander St. Station E, Buffalo, N.Y. tymi słowy rozpoczyna swój list: "Najpierw może by było lepiej gdybym opowiedziała coś o sobie. Nie zawiele bo drugą razą, by nie było co pisać. Jestem jedna z tysiąc a tysiąc dziewcząt tu w Ameryce . . . Czyś kiedy grał w kręgle? Ja mocno lubię albo przechadzki po górach. Jedna przeszkoda jest tylko w drodze. Tu gdzie mieszkam niema gór, więc o nich można tylko śnić . . . Jeśli otrzymasz drogi żołnierzu polski—odpisz i powiedz czybyś chciał, żeby Ci coś nadesłać . . . Mnie jest łatwiej pisać po angielsku, jeśli umiesz to napisz po angielsku, jeśli nie, to po polsku też dobrze. Więc do słyszenia . . ."

Mrs. Mary SKALSKA, 2989 E. Tilton St., Philadelphia, Pa. "piszę do kilku żołnierzy polskich w Szwajcarii, ale nie mogę napotkać kogoś z moich stron, ale to mnie nie robi różnicy bo wszyscy są z jednej Polski. Ja pochodzę z powiatu Gorlice. . . . Czy Pan zna Mariana Laskowskiego? Co mam Panu posłać . . ."

Miss Frances STYGRYS, Murray Hill, Mt. Morris, N.Y. "Co do mnie to jestem sobie Polka Amerykanka —25 lat, nie wysoka bo tylko 5 stóp 2 cale, ważę 120 funtów i ciemna blondynka. Mówię trochę po polsku, gdyż doszłam w Polsce do III klasy gimnazjalnej. Mówię nieco lepiej po angielsku. Mam dużo znajomych, lecz pragnę mieć więcej. Moi rodzice i siostra "mieszkają" w Polsce. Napisz drogi żołnierzu dużo o sobie a i ja obiecuję w następnym liście więcej opisać . . ."

Miss Helen KWIECIEŃ, Box 454, Preston, Ont., CANADA—"Jestem polska dziewczyna, urodziłam się w Rogowie, cała moja familia pochodzi z Kieleckiego . . . Czy masz znajomych w Londynie—czy Wam się tam przykrzy? . . . Czyś słyszał o Michale Musiał albo Lemanowskim. Ja dobrze nie mogę pisać po polsku, ale piszę jak mogę. Ja do polskiej szkoły chodziłam trochę, a resztę od matki i ojca nauczyłam się. Niech Bóg Was wszystkich błogosławi . . ."

Miss Anita JANKOWSKA, 108 First St., Sharfsbury, Pa. Pisze po angielsku—"I am 5 ft. 4 in. tall, brunette, grey eyes, and Polish. I like to hear from different places and people. So come on and please write—it will help pass your time away while away from home . . . I'd love to hear from you . . ."

Mrs. Elaina LASKOWSKA WOIDA, 2255 Welch Ave., Niagara Falls, N.Y.—"Mieszkam w pięknym mieście Wodospadu, jak też i mieście Nowożeńców. Przez to ostatnie mianuje, że przyjeżdżają tu do naszego miasta Nowożeńcy spędzać swoje miodowe miesiące. Jestem stenografistką w . . . Mam brata w obozie Armii Amerykańskiej. Proszę mi napisać o sobie i czekam na odpowiedź . . ."

Miss Pauline BROWN, 18 East 19 St., Bayonne, N.J. Ma dopiero 15 lat i pisze po angielsku i bardzo prosi o napisanie do niej również po angielsku. Chodziła dawniej do polskiej szkoły parafialnej. Pyta się, czy wszyscy Polscy żołnierze są w Londynie? Prosi o fotografie i obiecuje przesłać swoją . . .

Miss Lillian WACHOWIAK, 235 Howard St., Buffalo, N.Y. "Jestem urodzona w Buffalo, N.Y. mam 20 lat i bronzowe włosy i oczy. Jestem sobie zawsze wesoła. Lubię bardzo tańczyć i czytać książki. Także pisać listy. Kończąc list przesyłam wyrazy i życzenia szczęścia i zdrowia. Będę czekała na prędką odpowiedź . . ."

Miss Irene ZDOLIŃSKA, 137 Pine Ridge Rd., Buffalo, N.Y.— "Just a few lines to let you know I am looking for a friend, so won't you please write a few lines to me . . ."

Mr. Ludwik KOPERNIAK, 11 Winter Street, Adams, Mass.— "Drogi żołnierzu:—postanowiłem parę słów napisać by w ten sposób przynajmniej okazać wdzięczność za służbę dla Ojczyzny i dać dowód że społeczeństwo polskie w Ameryce myśli o Was i ceni Wasze poświęcenie dla świętej sprawy. Może Wam co potrzeba—piszcie a my Wam poślemy. Ja wyjechałem z Polski w roku 1909, pochodzę z wioski Łużna około Gorlic z województwa Krakowskiego, mój syn również służy już w armii amerykańskiej a drudzy pójdą po kolei. Zasyłam serdeczne pozdrowienie Panu i Kolegom . . ."

Miss Mary SEIDAL, 70 View St., New Haven, Conn. po prostu przesyła:—"Lots of luck, soldier!" i prosi o list . . .

Mr. Stanisław ŚPIEWAK, 135 Peach Tree Rd., Buffalo, N.Y.—poszukuje brata WAWRZYŃCA ŚPIEWAK i prosi by napisał list pod wspomniany adres, natomiast *Miss Helen ŚPIEWAK /adres j.w./* pisze, że "urodzona i wychowana w USA zapragnęłam ziścić marzenia i rozpocząć korespondencję z polskim żołnierzem. Mam dwóch braci, którzy w krótkim czasie będą zaciągnięci do Armii Amerykańskiej. Ja znów jeżeli zajdzie potrzeba to się zapiszę do działu Czerwonego Krzyża, bo mam pielęgniarskie wykształcenie a teraz pracuję w jednym z naszych Buffalowskich szpitali. Nie znam Was żołnierze osobiście, aleście mi są mili memu sercu. Nie tylko, że Polacy, ale też bohaterzy. Otóż ja córka emigranta z Polski a obywatela Stanów Zjednoczonych bardzo proszę o napisanie do mnie listu . . ."

Miss Marie WITKOWSKA, 1105 Wilmington Ave., New Castle, Pa. "Jestem tu rodzona z polskich rodziców i tyle od nich o Polsce wiem, jak bym tam i nawet była. Rodzice tu są 30 lat, ale nigdy nie zapomnieli Ojczyzny, a są obywatelami tego kraju. I ten kraj kochają i szanują. Mam 25 lat. Robię w dużym hotelu, podaję do stołów jedzenie, jest bardzo interesująca robota. Dużo ludzi spotykam codziennie i dowiaduję się o zapatrywaniu każdego na świat. Chciałam teraz, by wieczorem chodzić do szkoły coś się nauczyć innego, czegoś do roboty i kiedyś samej otworzyć jaki interes, aby dla mnie robił zamiast ja na niego robić, jak teraz, póki jestem młoda to pięknie, ale na starość to nie tak letko . . . Dosyć nam się teraz powodzi, jak już doroślismy i robimy na siebie. Ale też nam dosyć była bieda . . . Proszę o odpis najprędszy . . ."

Mr. Leonard KOSAKOWSKI, 78 Westwood Rd., Alden, N.Y. "I would like to correspond; maybe in this way I could locate my cousins and other relations as BULIŃSKI, NIEZABITOWSKI, KUBICKI, SOKOŁ, KOSAKOWSKI and KILARSKI . . . If you happen to know any of these, then please give them my address and tell them to write to me. We are all anxious to see some Polish soldiers. We can have fun sending letter back and forth, you won't be lonely there . . ."

Mrs. Ant. LASKOWSKI, 108 So Ryle St., Kansas City, Kans. "Mój mąż Antoni Łaskowski, syn Szymona, ma siostrę w KRAJU, na imię Emalina Butkiewicz, o której nic a nic nie słychać, może macie jakie wiadomości? Proszę opisać Wasze położenie, może Wam coś brakuje, czy pieniądze, czy tytoń, cygaretki do palenia. Paczkę 4 funty można wysłać . . . Siostra mego męża miała w Kraju trzy maleńkie dzieci, jakbyś mógł jakoś dowiedzieć się czy aby żyją. Mąż mój pochodzi z Rochotni . . ."

Miss Jadwiga WINIEWICZ 26 Bolton St., Somerville Mass. "To prosiłabym bardzo, a bardzo, aby był tak łaskaw i tak dobry i dał odpowiedź. Proszę napisać mi dużo o sobie, o swojej służbie wojskowej, no i w ogóle o wszystkiem, co się tam dzieje na dalekim świecie. Dumni jesteśmy, gdy słyszymy o naszych Rodakach, że są tak dzielni . . . Może kiedyś Wasze trudy zostaną uwieńczone . . ."

Miss Ann REMBISZEWSKI, 128 Endicitt Street, Worcester, Mass.— "Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus; a spodziewam się, że odpowiedź jest — na wieki wieków, Amen. Życzę Wam zdrowia i szczęścia a wszelkiej pomyślności w tych powszednich wypadkach i proszę przebaczyć, bo tak dobrze nie mogę pisać po polsku. Mam 18 lat i w czerwcu kończę szkołę wyższą . . . proszę napisać dużo o sobie . . .

Miss Wiktoria SPYCHAJ, 56 Wilson Ave., Buffalo, N.Y. "Bym chciała z Wami korespondować. Ja nam 18 lat, jestem blondynka, 5 stóp 4½ cali; jestem urodzona w Ameryce. Bym chciała się kiedy z Panem zapoznać osobiście, może i to się wydarzyć, gdyż ja może zestanę pielęgniarką to może się zobaczymy. Niech Bóg błogosławi wszystkich, co dążą do jednego tak szlachetnego celu, jak—zwycięstwo . . ."

Miss Irene ŚWIATEK, 290 Weimar Street, Buffalo, N.Y. "Sitting in an easy chair drifting away with my thoughts . . . I'm a Buffalo girl of Polish extraction, 5 ft. 5 in., medium brown hair and blue eyes— I love to attend movies, read books, and then I take life easy . . . How come that you are stationed in Great Britain? Did you dwell there before or are you from the States? How long are you in the army? What are your duties? What are your hobbies, if you have any? . . ."

Miss Bernice ASOWSKI, 62-16th Avenue, North Tonawanda, N.Y.— "Piszę parę słów i dowiadując się, jak Wam się powodzi w England. Czy lepiej jak w Polsce? Z jakiej miejscowości Pan pochodzi. Nasz tata z Ropczyc a mama z Tarnobrzegu. Czy nie ma tam z Wami jakich żołnierzy pochodzących z tamtych stron? Mój tata miał brata w wojsku w Lublinie, który był starszym nad wojskiem. Nazywa się Ludwik ASOWSKI—może go pan zna. Mam już 18 lat i my wszyscy chodzimy do polskiej szkoły, ja zaś szkołę skończyłam i pracuję. Może Pan kiedy odwiedzi Amerykę? Jak ten list szczęśliwie dojdzie do Pana i Pan odpisze, to może się postaramy Panu jakiś pakunek posłać. Teraz wszystkich pozdrawiam, Pana i wszystkich żołnierzy . . ."

Miss Jessie Mayer, R.F.D. No. 3, Pulaski, N.Y. "Jestem polską panienką i chcę korespondować z polskim młodzieńcem. Rodzice moi są z Polski z ziemi Krakowskiej. Urodzona jestem w Kanadzie, mieszkam tutaj przez kilka miesięcy jeszcze i potem wracam do Californii do rodziców. Bardzo mi trudno pisać po polsku bo do polskiej szkoły nie chodziłam [illegible] ko do angielskiej . . ."

Miss Josephine ZDROJEWSKA, 48 Inilford St., Buffalo, N.Y. "I think you will be glad to receive a letter from an unknown stranger. Maybe you'd like to know a little about me? Well, I'm 5 ft. 5 in., dirty blonde hair, blue eyes . . . I'm of Polish descent. I'm employed at the Buffalo General Hospital . . ."

Miss Mary GUZIK, 342 Townsend St., Dunkirk, N.Y. "Proszę do mnie odpisać i na powrót odpiszę Panu i będziemy sobie wzajemnie przyjaciółmi listownie, chociaż nas dzielą dalekie strony, ale z biegiem czasu i to listownie zbliżymy się ku sobie z wielką przyjacielską serdecznością. Zasyłam Panu i Kolegom serdeczne pozdrowienia, zdrowia i błogosławieństwo Boże i zwycięstwo nad Waszym wrogiem . . ."

Czesław KISIELEWSKI, 352 Irving Avenue, Brooklyn, N.Y.—poszukuje w Polskich Siłach Zbrojnych Stefana TYTUSA urodz. 4.II.1916 r. w USA; Hoboken, N.J.

Miss L. JASIŃSKA, 477 West Side Avenue, Jersey City, N.J.—prosi o napisanie do niej listu, przyjechała przed kilku laty ze Lwowa.

Miss Helena MISKIEL, 351 Moss Street, Plymouth, Penna.—pozdrawia polskiego żołnierza i prosi o napisanie listu . . .

Miss Stefania KUSNIERCZYK, 15 Grandview Ave., West Orange, N.J. "Byłoby mi miło prowadzić korespondencję z Wami, drodzy. Z Polski wyjechałam przed dwoma laty—tu jestem sama, gdyż rodzina moja została w Kraju, a częściowo na Syberii wysłana. Wiem jak bardzo tęsknić musicie do Polski i najdroższych, którzy tam zostali, bo i ja to samo przechodzę. Jeżeli macie jakie życzenia—piszcie do mnie zupełnie szczerze, jak do siostry. Ślę serdeczne pozdrowienia dla wszystkich naszych żołnierzy. Życzę szczęścia i powodzenia, może kiedyś zobaczymy się na polskiej ziemi . . ."

JERZY LASZKOWSKI

BIBLIOTEKA W EDYNBURGU

"W związku z przekatalogowaniem biblioteki Domu Polsko-Szkockiego w Edynburgu, uprasza się o możliwie jak najszybszy zwrot wszystkich wypożyczonych stamtąd książek."

SPIS RZECZY

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,683

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

Zamiast kwiatów na trumny załogi poległej w wypadku lotniczym dn. 17-go maja 1942 r. składają koledzy dla Rodaków w Rosji załączoną sumę £12.16.6 /słownie dwanaście funtów, szesnaście szylingów i sześć pensów/.

Koledzy z R.A.F. Station w T . . .

* * *

Redakcja "Polski Walczącej" Londyn,

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na £2 z przeznaczeniem na "Polaków w Rosji." Kwota ta została uzyskana z rozsprzedaży polsko-angielskiej "jednodniówki," a nieprzyjęta przez drukarnię "The Carlisle Journal," która bezinteresownie druk "jednodniówki" wykonała wyrażając równocześnie swą zgodę na przekazanie zebranej kwoty na wyżej wymieniony cel.

Polski Officer Senior
Nr. 15, EFTS, RAF Station

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £14.11 z prośbą o przekazanie Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi na pomoc Polakom w Rosji.

Komendant
Polskiej Szkoły Pilotażu w N.

Na życzenie pań: A. L. B. Mc Anderson, F. Drummond, C. D. Grant i J. D. Harley przesyłam kwotę sh.10 /dziesięć szylingów/ na pomoc dla Polaków w Rosji. Kwota ta stanowi zwrot ceny biletów wstępu na koncert Chóru Wojska Polskiego w miejscowości K.

Will you please accept 10 sh. for your Poles in Russia Fund which Miss A. L. B. Mc Anderson, F. Drummond, C. D. Grant and J. D. Harley declined to accept in return of the expenses for tickets for a concert of the Polish Army Choir.

Z poważaniem

podch. Marcin S.

* * *

W załączeniu przesyłam czek na 3 funty, które proszę przesłać do "Pol. Czerw. Krzyża" z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji.

Porucznik B.P.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na sumę £5 na pomoc dla Polaków w Rosji złożonych przez oficerów, urzędników i n.f. Biura Rozrachunkowego M.S. Wojsk. zamiast wieńca na trumnę ś.p. ppłk. int. z WSW. Władysława Wróblewskiego.

Raczy Pan Redaktor przyjąć wyrazy głębokiego poważanie.

Ś. ppłk int.

W załączeniu przesyłam Panom Money Order na kwotę sh.15 ofiarowaną, przez p. Rozowskiego Kazimierza.

Z kwoty tej przeznacza on sh.5 na uchodźców polskich w Rosji, sh.5 na uchodźców polskich w Hiszpanii, oraz sh.5 na jeńców polskich w Niemczech.

Kierownik Domu Pracy
Inwalidów Wojskowych

* * *

Nadto przekazali na ten cel p. E. Skrzypek 10 sh. /połowa honorarium za artykuł drukowany w "Polsce Walczącej"/, dr. Ignacy Wieniewski £1 sh.10 nieprzyjęte honorarium za artykuł drukowany w "Polsce Walczącej," oraz p. Regina Oppmanowa sh.6.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £40 sh.18 d.6 /słownie czterdzieści funtów, osiemnaście szylingów, sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,683.16.7. /słownie tysiąc sześćset osiemdziesiąt trzy funty, szesnaście szylingów, siedem pensów/.

POLSKA Y.M.C.A.

"Dyrekcja Polskiej YMCA w W. Brytanii zawiadamia, iż z dniem 1 czerwca 1942 przeniosła swe biuro z Perth do Edinburgha, 1, Atholl Place I.p. /na przedłużeniu Princess Street w kierunku Haymarket/."

Ppor. Zdzisław Bałabuszyński znajduje się w niewoli niemieckiej. Adres: Oflag VII A. Block "i." Numer jeńca 15831.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.